

Anna Wasak, Robert Mazurek

Radzyń Podlaski

Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami. Cz. 12

„Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami” nie pozwalają się nudzić. W jedenastym sezonie cyklu odbyło się aż 6 spotkań, podczas których Katarzyna Łoza zabrała nas do ogarniętej wojną Ukrainy a Przemek Kossakowski na przejażdżkę z „Down The Road. Zespół w trasie”. Z kolei Adam Jarniewski opowiedział nam o Grenlandii, Marcin Meller o Gruzji, Artur Owczarski o słynnej Route 66 a Witold Szablowski o Wołyniu. Ponadto, z okazji 10-lecia Spotkań, przygotowaliśmy wystawę podróżniczych karykatur Przemysława Krupskiego. Udało się ją pokazać w Muzeum Podróżników im. Tony`ego Halika w Toruniu oraz Zarządzie Głównym PTTK w Warszawie. Zorganizowaliśmy też wystawę fotografii wojennych Maksy Skrzeczkowskiego, której wernisaż odbył się w Radzyńskim Ośrodku Kultury dokładnie w pierwszą rocznicę agresji Rosji na Ukrainę.

Na opisywane „Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami” zaprosił burmistrz miasta Jerzy Rębek oraz starosta Szczepan Niebrzegowski, a także organizatorzy: Radzyński Ośrodek Kultury i działające przy nim stowarzyszenie „Podróżnik”. Sponsorami byli: firma drGerard, Nadleśnictwo Radzyń Podlaski, Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych oraz Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej. Patronat nad spotkaniem mieli ogólnopolski miesięcznik „Poznaj Świat”, portal Kocham Radzyń Podlaski, Telewizja Radzyń, Biuletyn Informacyjny Miasta Radzyń i Informator Powiatowy.

Edycja	Podróżnik	Temat, termin i miejsce spotkania
41.	Katarzyna Łoza	„Ukraina. Soroczka i kiszzone arbuzy” 30 sierpnia 2022 r. Sala kameralna Radzyńskiego Ośrodka Kultury
Wystawa podróżniczych karykatur Przemysława Krupskiego z okazji 10-lecia „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” 7 października - 27 listopada 2022 r. Muzeum Podróżników im. Tony'ego Halika w Toruniu		
42.	Przemek Kossakowski	„Down The Road. Zespół w trasie” 17 listopada 2022 r. Sala widowiskowo-kinowa ROK
43.	Adam Jarniewski	„Grenlandia – jak tam żyć?” 8 grudnia 2022 r. Miejska Biblioteka Publiczna w Radzynie Podlaskim
44.	Marcin Meller	„Gaumardżos! Opowieści z Gruzji” 7 lutego 2023 r. I Liceum Ogólnokształcące w Radzynie Podlaskim
Wystawa oraz spotkanie z Maksym Skrzeczowskim pt. „Pocałunek wojny” 24 lutego 2023 r. Galeria „Oranżeria” Radzyńskiego Ośrodka Kultury		
45.	Artur Owczarski	„Droga 66. O historii. Legendzie. Podróży” 27 marca 2023 r. Sala kameralna Radzyńskiego Ośrodka Kultury
Wystawa „Znani podróżnicy, turyści i alpiniści w karykaturze” 30 marca – 31 maja 2023 r. Galeria Zarządu Głównego PTTK w Warszawie		
46.	Witold Szablowski	„Opowieści z Wołynia” 10 lipca 2023 r. Miejska Biblioteka Publiczna w Radzynie Podlaskim

„Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami” już dawno zapewniły sobie poczytne miejsce w kulturalno-towarzyskim życiu Radzyna. Dlatego warto do tych spotkań wracać, warto je utrwalać na łamach „Radzyńskiego Rocznika Humanistycznego”. Więcej o cyklu znajdziecie też na www.podroznik-radzyn.pl lub www.facebook.com/radzyn-spotkania





Fot. archiwum Katarzyny Łoza

Katarzyna Łoza urodziła się w Warszawie. Studiowała etnologię i antropologię kultury na tamtejszym uniwersytecie. Od 2004 roku mieszka we Lwowie, który odkrywa, także przed Polakami. To wieloletnia przewodniczka, założycielka biura wycieczkowego. Prowadzi blog lwow.info, jest autorką artykułów poświęconych miastu i książki o Cmentarzu Łyczakowskim. Napisała książkę „Ukraina. Soroczka i kiszone arbuzy”, wydaną w 2022 r., tuż po wybuchu wojny. Jest w niej o miastach, które wyglądają już inaczej oraz świat, którego już nie ma.

Ukraina po zwycięstwie nie będzie już taka sama

Wywiad Roberta Mazurka z Katarzyną Łozą, autorką książki „Ukraina. Soroczka i kiszone arbuzy”

Co sprawiło, że związałaś się z Ukrainą na długie lata?

Zainteresowanie wschodem, krajami obszaru postsowieckiego, tematyką dawnych polskich kresów, ale też przypadek. W czasie studiów wielokrotnie jeździłam na Litwę, na Białoruś i do Ukrainy. Lwów oczarował mnie na tyle, że chciałam tam wracać i tak poznałam przyszłego męża. To zadecydowało, że zostałam tam na stałe.

Książka „Ukraina. Soroczka i kiszone arbuzy” jest o...

Jak wskazuje tytuł to pozycja o bliskim kraju, ale bardziej o Ukraińcach. Starłam się pokazać państwo przez pryzmat mieszkańców, opowiadających ich historie, ale także podzielić się doświadczeniami z prawie dwudziestoletniego pobytu w tym kraju. Dlatego książka składa się w dużej mierze z opowieści: moich, tych z najbliższego otoczenia i poznanych przygodnie w trakcie podróży. Jest w niej dużo o życiu codziennym, o świętowaniu, które Ukraińcy uwielbiają. Także o kuchni, która na pierwszy rzut oka wydaje się podobna do naszej, ale po bliższym przyjrzeniu się kryje wiele niespodzianek (jak choćby tytułowe kiszone arbuzy). Poruszam w niej też tematy społeczne, kwestie miejsca kobiet w społeczeństwie, piszę o tym jak ważnym, ale nie przełomowym wydarzeniem był Majdan.

Publikacja trafiła do druku tuż przed wybuchem lutowej wojny. Napisałaś, że nie wiesz, czy się boisz rosyjskiej inwazji. Jak jest dzisiaj? Czujesz się już bezpiecznie?

Niestety, dziś w Ukrainie nikt nie może czuć się do końca bezpiecznie. Mieszkamy 1000 km od strefy frontowej, ale również do Lwowa dolatywały rosyjskie rakiety, ginęli ludzie. Świadomość zagrożenia nie jest jednak tożsama ze strachem. Wybuch wojny mnie nie przestraszył, raczej zaskoczył, bo do ostatniej chwili nie wierzyłam, że inwazja na taką skalę naprawdę się zdarzy. Nie panikowaliśmy, raczej zastanawialiśmy się nad różnymi scenariuszami rozwoju wydarzeń, mieliśmy kilka sposobów postępowania, ale wojna jest na tyle nieprzewidywalna, że planowanie mija się z celem. Na szczęście Lwów nie został ogarnięty działaniami wojennymi, stał się schronieniem dla uchodźców, a życie toczy się tu w miarę normalnie.

Dlaczego Putinowi zależy, by Ukraina była pod wpływem Moskwy?

Marzy o odrodzeniu imperium, chciał zapisać się w historii jako jego budowniczy. Wzorem dla niego jest carska Rosja, choć metody, którymi się posługuje są rodem z ZSRR – Putin był przez wiele lat oficerem KGB. Rosja w obecnym kształcie ma zbyt mały potencjał, aby to marzenie urzeczywistnić, ale są ciągle próby podporządkowania sobie innych krajów: Czeczenii, Białorusi, Gruzji, Kazachstanu, a teraz Ukrainy. Bez Ukrainy, zasobnej w bogactwa naturalne, ziemie, mającej duży potencjał ludzki, nie jest możliwe stworzenie Sojuszu Euroazjatyckiego. Tworu, który na arenie międzynarodowej mógłby skutecznie konkurować z Chinami i USA. Idee „ruskiego miru” – obszaru wyznającego wspólne z Rosją idee, język i religię, oczywiście pozostającego pod wpływem Kremla – promował Aleksander Dugin, który niedawno o mało co nie został ofiarą zamachu w Moskwie (zginęła w nim jego córka).

W Polsce duże emocje wywołują doniesienia o ostrzałach Lwowa, w którym mieszkasz od 2004...

Lwów stara się żyć normalnie, działają przedsiębiorstwa, instytucje państwowe i samorządowe, prywatne firmy a nawet hotele i restauracje. Jednocześnie, jak mówiłam, jest miastem, który przyjął dużą liczbę uchodźców (ponad 200 tys.), co słysząc na ulicach – w mieście pojawił się niesłyszany wcześniej język rosyjski, co wywołuje wiele dyskusji a nawet niezadowolenia. Do Lwowa przeniosły się firmy, przedsiębiorstwa z zagrożonych regionów Ukrainy, a także niektóre instytucje kulturalne oraz uczelnie. Jednocześnie stał się ważnym zapleczem dla frontu, miastem w którym działa wiele fundacji i organizacji wspierających żołnierzy, wolontariuszy. Nieprzerwanie od 2014 roku pracuje choćby kuchnia przygotowująca posiłki dla walczących.

Ale ta wojna trwa od lat...

Tak, mamy tego świadomość, tym bardziej, że to właśnie ze Lwowa poszła na front w 2014 roku duża liczba ochotników. Praktycznie każdy miał z rodziny lub wśród znajomych kogoś, kto z tej wojny nie wrócił. Teraz inwazja jest na dużo większą skalę. Linia frontu to ponad 1000 km, a jeśli dodamy do tego granicę ukraińsko-białoruską to będzie nawet 2500. Z tamtej strony także mamy zagrożenie, bo część ostrzałów rakietowych jest z terenów Białorusi. Nie ma gwarancji, że Łukaszenka nie udostępni państwa również dla inwazji lądowej, a może nawet włączyć się do wojny.

Tak jak mówiłam, życie we Lwowie toczy się na pozór normalnie – działają kawiarnie, ale jednocześnie w kościele garnizonowym na Starym Mieście są codziennie pogrzeby poległych.

Czy można mówić już o braterstwie polsko-ukraińskim?

Ukraińcy nie lubią mówić o braterstwie między narodami, bo mają złe doświadczenia po wieloletnim wtłaczaniu im do głów tezy o bratnich narodach ukraińskim, rosyjskim i białoruskim, która okazała się nie tylko fałszywa, ale wręcz szkodliwa. Dlatego wolą mówić o przyjaźni lub o partnerstwie. Pomoc jest bardzo doceniana, a Polacy już na długo przed wojną cieszyli się ogromną sympatią. Prezydent Andrzej Duda ma chyba w Ukrainie większe poparcie niż w swoim kraju. Niedawno pamiątkowa płyta z jego nazwiskiem została umieszczona w kijowskiej Alei Odwagi.

Po wybuchu wojny podniosło się wiele głosów, żeby nie mówić już „na Ukrainie” ale „w Ukrainie”. Dlaczego to takie ważne?

Jest to ważne dlatego, że formę na Ukrainie świadomie i z premedytacją wykorzystuje Putin celem poniżenia narodu i podkreślenia, że Ukraina jest niesłusznie oderwaną częścią imperium. Używanie przyimka „w” podkreśla więc podmiotowość państwa. Oczywiście forma „na” pozostaje poprawna i osadzona historycznie w języku polskim, w dodatku nie ma ona takich negatywnych konotacji, jak w języku rosyjskim, jednak jeśli chcemy mówić o przyjaźni polsko-ukraińskiej to warto brać pod uwagę odczucia drugiej strony, tym bardziej, że forma „w” była niegdyś w polszczyźnie, a używał jej między innymi Słowacki.

Z Chersonia – miasta arbuzów i pomidorów – oraz Doniecka – miasta miliona róż – niewiele zostało. Ruiny to teraz swoisty pomnik sąsiedzkiej agresji. Czy można mówić już o bezpowrotnej stracie tych, ale i wielu innych miast wschodniej i południowej Ukrainy?

Zarówno Chersoń jak i Donieck znalazły się pod rosyjską okupacją. Miasta zostały zajęte szybko i praktycznie bez walk, za wyjątkiem lotniska w Doniecku (przełom 2014 i 2015 roku), więc nie zostały do końca zniszczone. Do Chersonia okupanci wkroczyli w tym roku. Zupełnie inna jest tam sytuacja jeżeli chodzi o poparcie miejscowej ludności. W Doniecku jest ono duże, utworzono nawet istniejący do dziś twór quasi państwowy – Doniecką Republikę Ludową. Ci, którzy jej nie popierali, wyprowadzili się do innych miast po 2014 roku. W Chersoniu jest natomiast ogromny

sprzeciw przeciwko władzom okupacyjnym, w mieście organizowane były wielotysięczne mityngi pod ukraińską flagą, działa partyzantka, organizowane są akcje dywersyjne. Okupantom było bardzo trudno utrzymać władzę w mieście. Mam nadzieję, że niedługo Chersoń wróci do Ukrainy, razem z... najlepszymi arbuzami. Zrujnowane zostało natomiast inne duże miasto południa – położony w obwodzie donieckim portowy Mariupol. Ludność cywilna przeżyła koszmar podczas ostrzałów, zginęły dziesiątki tysięcy, a infrastruktura jest prawie w 100% uszkodzona. Uchodźcy z Mariupola, a jedną z takich rodzin gościliśmy u nas we Lwowie, żyją z poczuciem ogromnej straty – nawet jeśli Mariupol wróci do Ukrainy, to potrzeba lat na odbudowę, a jeszcze więcej czasu na zablźnienie się ran w psychice.

Napisałaś w książce, że polski profesor zapytał kiedyś ukraińskich studentów co wybierają: „Stabilizację czy kryzys?”. Odpowiedzieli, że kryzys, bo jest szansą na zmianę. Czy właśnie dzięki takiemu podejściu Ukraińcy radzą sobie tak świetnie na froncie?

Wielokrotnie zauważyłam, że tak jest. Ukraińcy, w przeciwieństwie do Rosjan, nie boją się sytuacji kryzysowej, podchodzą do niej jak do zadania, szansy. Na to, jak Ukraińcy radzą sobie na froncie miało wpływ szereg czynników. Jednym z nich jest fakt, że wojna rozpoczęła się w 2014 roku. Czas, który mijał od jej wybuchu wykorzystywali na przygotowanie się do kolejnej inwazji. Szkolili się, kupowali sprzęt wojskowy, ale zaszła też ważna zmiana w społeczeństwie, które aktywnie pomaga walczącym. Myślę, że swoją rolę odgrywa także mit kozaczyzny – Ukraińcy od małego wychowywani są w przekonaniu, że ich przodkowie byli waleczni, odważni aż do brawury, zdolni do wielkich rzeczy, a jednocześnie pełni humoru i jak to dzisiaj powiedzielibyśmy, luzu. Wierząc, że odziedziczyło się takie geny, łatwiej stanąć do walki. Stąd pewnie te krążące po Internecie filmiki, na których żołnierze tańczą i śpiewają w okopach.

Stereotypowo uważa się, że zachód jest ukraińskojęzyczny, a wschód – rosyjskojęzyczny. Jest tak w istocie?

Stereotyp. W rzeczywistości podziały przebiegają trochę inaczej – na przykład wsie na wschodzie są ukraińskojęzyczne, nawet w najdalej wysuniętym Donbasie. Rosyjskojęzyczne miasto to efekt długotrwałej polityki, narzucanie rosyjskiego i rugowania ukraińskiego z życia publicznego i kultury. Proces ten rozpoczął się jeszcze w XVIII wieku, a bardzo przybrał na sile pod koniec XIX wieku. W 1876 roku carat ukazem emskim

zakazał używania ukraińskiego w piśmie. Władza sowiecka początkowo dała swobodę używania języka, ale bardzo szybko się to zmieniło, choć w innej formie: to rosyjski był oficjalnym językiem dokumentacji, nauki, jedyną drogą awansu zawodowego. Nawet nauczyciele za wykładanie po rosyjsku mieli wyższe pensje.

Opisujesz Kijów jako miasto wielu sprzeczności. W czym one się najbardziej przejawiają?

Nie sprzeczności, a raczej kontrastów. Są bardzo duże różnice społeczne, możemy spotkać na ulicy babcię sprzedającą kwiaty z własnego ogródka za parę kopiejek, a za rogiem supermarket z luksusowymi towarami, na przykład z szampanem za ponad 100 000 hrywien butelka. Również miasto jest pełne kontrastów: ucierpiało mocno w czasie wojny. Stare carskie kamienice sąsiadują z blokami z czasów komunistycznych i nowoczesną, ale mocno chaotyczną zabudową. Na pierwszy rzut oka Kijów sprawia wrażenie brzydkiego miasta, w którym nic do siebie nie pasuje, ale po głębszym poznaniu wciąga i zachwyca.

Napisałaś, że jedzenie to język miłości. Co cię w nim tak urzekło?

W kuchni bardzo cenne jest to, że potrawy przygotowywane są z prostych, nieprzetworzonych produktów, takich bez przemysłowej obróbki. Na bazarach można na przykład kupić naturalną śmietanę, jajka ze wsi i warzywa z własnego ogródka. Nawet najprostszy barszcz ugotowany z takich produktów będzie smakował inaczej niż ten na warzywach z supermarketu. Ukraińska kuchnia jest też bardzo różnorodna, wchłonęła też sporo z innych kultur. A szczególnie różni się południe kraju, obfitujące w ryby morskie i to z wielkich rzek, ale też warzywa i owoce dojrzewające na słonecznym stepie.

Obalmy wreszcie mit pierogów ruskich, które nie mają nic wspólnego z... Rosją.

Ruskie, czyli... z Rusi. A Ruś to Ukraina. Jeszcze przed drugą wojną światową, a w II Rzeczypospolitej, Ukraińców nazywano powszechnie Rusinami.

Jest jeszcze ta kwestia barszczu...

To temat na odrębny wywiad. To nie tylko danie, ale zjawisko kulturowe, nie bez powodu został on niedawno wpisany na listę światowego dzie-

dzictwa UNESCO. W Ukrainie powstał nawet serial kulinarny o barszczu, bo ma on wiele odmian regionalnych.

Napisałaś, że „ze Lwowa Ukrainy nie zobaczysz”. To, gdzie jej szukać?

Dalej na wschód. Na dzikich polach, w Kijowie. Główne filary i fundamenty tożsamości to Ruś Kijowska i kozaczyzna, trzeba więc dotrzeć na te tereny, gdzie żywe są tradycje tych dwóch okresów historycznych. W Kijowie możemy podziwiać Sofię Kijowską, świątynię wybudowaną w początkach XI wieku na wzór słynnej Hagia Sophia, a także pochodzący z tego samego okresu klasztor, Ławrę Peczerską. Jeśli chodzi o zabytki kozackie, to możemy obejrzeć rekonstrukcję Siczy – obozu, wybudowanego na wyspie Chortyca w Zaporozżu, ale także szereg zabytków tak zwanego kozackiego baroku – głównie cerkwi fundowanych przez starszyznę. Inna jest też mentalność współczesnych Ukraińców, tych mieszkających w Kijowie i we Lwowie.

Czy widzisz zmiany odkąd zaczęłaś tam regularnie bywać?

Tak, oczywiście. Ukraina to kraj, który nieustannie zmieniał się jeszcze na długo przed wybuchem wojny, a tym bardziej zmienia się w jej trakcie. Teraz procesy przybrały na sile, toczą się bardzo burzliwe dyskusje o języku, religii, tożsamości. Ogromna liczba wewnętrznych uchodźców sprzyja też wymianie doświadczeń pomiędzy regionami. Ukraina po zwycięstwie nie będzie już taka sama...

26-08-2022

Soroczka i kiszone arbuzy

30 sierpnia 2022 roku, w sali kameralnej Radzyńskiego Ośrodka Kultury miało miejsce spotkanie z Katarzyną Łozą, autorską książki „Ukraina. Soroczka i kiszone arbuzy”. Podróżniczka przybliżyła zebrany historię i kulturę oraz opisała aktualną sytuację wschodniego sąsiada.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Po raz pierwszy znalazła się tam trochę przypadkiem. Jako studentka I roku etnologii zaplanowała sobie w 1997 roku pierwszą podróż zagraniczną. Wyjechała z dwojgiem przyjaciół w Karpaty. Była zainteresowana właśnie tym krajem, bo to na wschodzie zachowało się wiele z tradycyjnej kultury, a społeczeństwo jest tam wielonarodowościowe, wielokulturowe i różnorodne pod względem religijnym. Ta różnorodność pociągała ją, intrygowała. Ukraina była wtedy młodym państwem, dopiero co oddzieliła się od ZSRR. Odzyskała niepodległość. Było więc w niej to, co kazało wracać, poznawać ją coraz głębiej. No i było jeszcze... ktoś – tam bowiem znalazła miłość swego życia, przyszłego męża. W 2004 roku zamieszkała na stałe we Lwowie. Wielu dziwiła ta decyzja, bo kierunek zmiany miejsca zamieszkania był zaskakujący.

- Nie było to proste, mąż zarabiał 100 dolarów, a mieszkanie kosztowało 120. Podnajmowaliśmy pokój, a mieszkaliśmy w przechodnim - wspominała. Od tamtego czasu Ukraina się zmieniła. - Trudno powiedzieć, czy żyje się gorzej niż w Polsce, na pewno są większe dysproporcje społeczne: wielu obywateli żyje poniżej granicy nędzy, ale jest też wielu bajecznie bogatych, bogatszych niż ci najbogatsi w Polsce. Poziom życia zależy więc od tego, do której grupy należymy. Jakoś dawaliśmy i dajemy sobie radę. Warto jednak zauważyć, że kilka sfer życia wygląda lepiej niż w Polsce, np. służba zdrowia. Nie ma choćby kolejek do lekarzy.

Soroczka i kiszone arbuzy

W tytule książki znalazły się dwa określenia: jedno niezrozumiałe (soroczka), a drugie trochę dla nas dziwne (kiszone arbuzy).

- Tytułowa „soroczka” to haftowana koszula - męska lub damska. Nie jest to typowy strój ludowy, podkreśla tożsamość narodową. Ukraińcy sięgają po soroczki idąc na uroczystości państwowe, ważne wydarzenia społeczne, rodzinne - wyjaśniała autorka.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Jeśli chodzi o tradycyjne potrawy, popularne także w Polsce, to Katarzyna Łoza dłużej zatrzymała się przy barszczu ukraińskim i pierogach ruskich, które pojawiają się w naszych sklepach już pod nazwą... ukraińskie.

Barszcz to temat na odrębne spotkanie, ponieważ to nie tylko danie, lecz zjawisko kulturowe. Jest potrawą wspólną dla całego kraju, jednoczy Ukraińców, ale może występować w wielu wersjach: od najprostszej do bardzo wykwintnej, zależy to od sposobu przyrządzenia (gotowany na mięsie, rybach, grzybach) i użytych warzyw (oprócz podstawowych mogą być bakłażany, gruszki, śliwki, kabaczki, papryka). Barszcz jest improwizacją jak... jazz – podsumowała autorka. UNESCO wpisała barszcz na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego świata jako potrawę ukraińską, ale wcześniej była ostra rywalizacja z Rosją. W telewizji pokazano nawet nie tak dawno kilkunastoodcinkowy serial, w którym kucharz-celebryta jeździ po Ukrainie i gotuje barszcz.

– Pierogi ruskie – to są tak naprawdę pierogi... ukraińskie, bo Ruś i Ukraina to równoprawne nazwy. Rusią nazywano dawne ziemie Rzeczypospolitej – wyjaśniła prelegentka. Objaśniła też inne charakterystyczne zjawiska kulturowe. A jedno z nich wiąże się ze słowem „porobiony”.

Ukraińcy lubują się w ezoteryce, mają swe wróżki, tak jak my lekarzy. Jest nawet show w telewizji o tej tematyce. Teraz najbardziej popularne są „prorocтва” dotyczące wojny – wróżki, osoby uznawane za paranormalne i celebryci przedstawiają prognozy. Właśnie z aktywnością wrózek wiąże się zwrot „mieć porobione”. Nieco przypomina polskie „mieć przechłapanie”. „Ma porobione” ktoś, na kogo wróżka rzuciła urok i potem zaczyna mu się źle wiesć. Ten stan można zmienić idąc do innej wróżki, żeby tamten urok odczyniła...

Inny charakterystyczny zwrot to „wprowadzić się do czyjegoś życia”. Oznacza kupno mieszkania z rzeczami po poprzednich właścicielach – z meblami, ubraniami i innymi przedmiotami stanowiącymi historię rodzinną. Ma to swe uzasadnienie. W ZSRR panowała bieda, więc niczego się nie wyrzucało, a rzeczy były gromadzone przez dziesięciolecia. Obecnie sytuacja się zmienia, społeczeństwo się bogaci, a mieszkania wynajmuje się już po remoncie.

Wojna

W rozmowie z publicznością nie mogło zabraknąć tematu wojny. – Wybuch nie był dla nas zaskoczeniem, bo od dłuższego czasu było narastające napięcie. Zaskoczyła nas tylko skala inwazji. Nawet w najczarniejszych scenariuszach nikt nie przewidywał aż takiej agresji – spodziewaliśmy się ataku na Kijów, ale nie tego, że zaatakowane zostaną wszystkie obwody,

łącznie ze Lwowem. Byliśmy zszokowani, panował chaos. Wielu zdecydowało się na szybki wyjazd z kraju, na granicach były nawet 30-kilometrowe kolejki. Po kilku tygodniach w zamknięciu, ludzie wyszli jednak z domów i życie zaczęło wracać na ulice. Teraz są już pootwierane kawiarnie i restauracje. Życie we Lwowie toczy się prawie normalnie. Jest w miarę spokojnie i bezpiecznie, bo ostrzały są rzadkie, atakują głównie infrastrukturę, mniej osiedla. Jest jednak wielu – bo ok. 200 tys. uchodźców wewnętrznych. Dlatego na ulicach słychać często rosyjski, czego wcześniej nie było. Lwowianie ostro na to reagują: – Skoro was przyjęliśmy i gościmy, to przynajmniej z grzeczności powinniście mówić po ukraińsku – twierdzą.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Problem języka ukraińskiego i rosyjskiego na terenie Ukrainy jest bardzo złożony – tak jak stosunki narodowościowe. Leonid Kuczma napisał książkę pod znamienym tytułem: „Ukraina to nie Rosja”. Rosyjski jest w niej językiem obcym, nie ma statusu oficjalnego, ale dla części mieszkańców to język domowy. – Tereny wschodniej Ukrainy położone za Zbruczem były rusyfikowane od bardzo dawna, ukraiński był tam marginalizowany, a nawet zabroniony. W 1876 roku wyszedł ukaz emski, który zabraniał

używania, publikacji oraz występów publicznych w tym języku – wyjaśniła Katarzyna Łoza. – W ZSRR środowiska rosyjskojęzyczne były promowane, to dla tak mówiących był zarezerwowany awans społeczny. Podział na rosyjski i ukraiński przebiega nie tylko wzdłuż linii wschód-zachód, ale także różni miasto i wieś. Wschód i miasta są bardziej zrusyfikowane. Pod wpływem wojny zmieniają się jednak powoli sympatie – zdarzają się coraz częstsze przejścia z rosyjskiego na ukraiński, choć nie jest to jeszcze zjawisko masowe.

V kolumna i wojna informacyjna

Zapytana o V kolumnę autorka książki odpowiedziała, że rosyjska siatka szpiegów i dywersantów jest gęsta w Ukrainie, szczególnie na wschodzie. Rosjanie sądzili, że dzięki temu będą mogli opanować kraj szybciej. V kolumna okazała się jednak słabsza niż się spodziewali z powodu wszechobecnej korupcji, która w tym przypadku okazała się sprzymierzeńcem: większość pieniędzy pompowanych w agentów gdzieś się upłynniła. A specyfika współczesnych wojen jest taka, że obok walki na froncie jest też zaciekle informacyjna. Ukraińcy wygrywają tę wojnę w mediach, Internecie. Rosyjska propaganda jest prostacka, prymitywna, łatwa do zde-maskowania. Władze państwowe Ukrainy z prezydentem Wołodymyrem Zelenskim i naczelnym dowództwem pozwalają sobie na luz i żarty. Taka postawa poprawia atmosferę, daje nadzieję. Prezydent doskonale odnalazł się w swej roli, przydało mu się doświadczenie aktorskie. Nie opuścił kraju, jest niezwykle aktywny na arenie międzynarodowej, jeździ, wydaje cotygodniowe oświadczenia. Wcześniej poparcie mu nieco spadało, ale teraz wystrzeliło i jest na wysokim poziomie.

Anna Wasak
05-09-2022

Wystawa „podróżniczych” karykatur w Toruniu: „Wielki szacunek dla tego, co dzieje się w Radzynie”

W Muzeum Podróżników im. Tony`ego Halika w Toruniu prezentowana jest wystawa karykatur autorstwa Przemysława Krupskiego, przygotowywanych z okazji kolejnych edycji „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”. Wernisaż odbył się 7 października z udziałem m.in. dyrektorki placówki Magdaleny Nierzwickiej oraz licznej grupy radzynian z prezesem Radzyńskiego Stowarzyszenia „Podróżnik”, dyrektorem ROK Robertem Mazurkiem, przewodniczącym Rady Miasta Adamem Adamskim oraz prezesem PEC Jerzym Woźniakiem. Wydarzenie wpisało się w obchody 10-lecia „Spotkań”.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Wernisaż był okazją do promocji Radzyna. Impreza rozpoczęła się od prezentacji krótkiego filmu, w którym przedstawione zostały: idea „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”, wydarzenia wybrane z 40. ich edycji oraz ważne dla promocji naszego miasta konsekwencje związane z ich organizacją (zwycięski udział Radzyna w konkursie na „7 Nowych Cudów Polski”, cykl filmów Stefana Czernieckiego w programie „Za siódmą górą”

o Radzynie, radzyński odcinek „Zakochaj się w Polsce”, honorowe obywatelstwo Radzyna i powiatu radzyńskiego przyznane Elżbiecie Dzikowskiej, Skwer Podróżników w Radzynie – nowa atrakcja turystyczna naszego miasta i wiele innych).



Fot. Tomasz Młynarczyk

– Chylę czoła. Jestem pod wrażeniem. Nasze muzeum powstało w 2003 roku, prawie 20 lat temu, ale takich osiągnięć nie mamy. Wielki szacunek dla tego, co dzieje się w Radzynie – po obejrzeniu filmu powiedziała dyrektor toruńskiego Muzeum Podróżników – Magdalena Nierzwicka. – Jest to nieprawdopodobne, że tak małe miasto zrobiło tak wiele dla promocji pasji podróżowania. Okazuje się, że mimo iż świat się zmienia, idea bezpośredniego kontaktu jest ważna: mimo wielu innych możliwości poznawania świata, spotkania z podróżnikami na żywo i słuchanie ich pełnych emocji opowieści są bardzo popularne.

Dyrektor Muzeum podkreśliła, że wystawa została zorganizowana na prośbę Elżbiety Dzikowskiej i spowodowała przesunięcie na czerwiec 2023 roku wcześniej zaplanowanej wystawy.

Robert Mazurek dziękował Magdalenie Nierzwickiej i Elżbiecie Dzikowskiej (która nie mogła przybyć na wernisaż z powodów zdrowotnych) za możliwość prezentacji radzyńskiej wystawy w Toruniu. Skierował podziękowania do autora karykatur Przemysława Krupskiego, przede wszystkim do osób, które go inspirowały i włączały się w organizację „Spotkań”, w tym żony Małgorzaty, która zainteresowała go reportażami podróżniczymi i syna Jakuba – autora pomysłu Skweru Podróżników.

Robert Mazurek i Adam Adamski wręczyli dyrektor Muzeum Podróżników im. Tony’ego Halika pamiątkowy medal „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” z certyfikatem oraz książki zawierające wywiady Roberta Mazurka z gośćmi „Spotkań”.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Wernisaż zakończył się słodkim poczęstunkiem, na którym królowały marchwiaki z konfiturami z jarzębiny i dzikiej róży – wszystko wykonane przez Państwa Mirosławę i Mirosława Piasko. Wystawa będzie prezentowana w toruńskim muzeum do 27 listopada.

Anna Wasak
11-10-2022



Fot. archiwum Przemka Kossakowskiego

Przemysław Kossakowski urodził się w 1972 r. w Częstochowie, gdzie ukończył Wydział Wychowania Artystycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej (obecnie Akademii im. Długosza). Dziennikarz, dokumentalista i podróżnik.

Początkowo zajmował się malarstwem, następnie pracował jako nauczyciel, drwal, mechanik samochodowy, pracował też w holenderskiej chlewni oraz zbierał ziemniaki we Francji. Po wyprowadzce na wieś popadł w kryzys twórczy, a po sprzedaży domu na wsi wyjechał do miasta, lecz nie mógł znaleźć pracy, co spowodowało problemy finansowe.

W 2012 r. został zatrudniony jako dokumentalista w stacji TTV i zaczął pracować jako dziennikarz i prowadzący. W 2014 r. wydał książkę „Na granicy zmysłów”, którą napisał na podstawie swojego programu reportażowego „Kossakowski. Szósty zmysł”. Od 2016 r. prowadził kolejne programy dla TTV: „Kossakowski. Być jak...”, „Kossakowski. Inicjacja”, „Kossakowski. Wtajemniczenie” i „Kossakowski. Nieoczywiste”. W 2020 r. został gospodarzem programu „Down the Road. Zespół w trasie”, w którym relacjonował podróże po świecie z grupą osób z zespołem Downa. Za ten program otrzymał nagrodę „Lodołamacze 2020” w kategorii „dziennikarz bez barier” i „Telekamerę 2021” w kategorii „osobowość telewizyjna”. W 2022 r. został prowadzącym programu Project Cupid w telewizji TTV oraz ukazała się jego druga książka pt. „Drobna nieuważność i inne historie”.

Nie miałem pojęcia, że się tak to potoczy

17 listopada 2022 roku odbyła się 42. edycja „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”. Gościem był Przemek Kossakowski – podróżnik, odkrywca, autor książek i twórca telewizyjny, który swymi dokonaniem wielokrotnie udawał, że strach ma jedynie wielkie oczy. Spotkanie rozpoczęła uroczystość odsłonięcia tabliczki na Skwerze Podróżników, po czym mieszkańcy miasta i powiatu wysłuchali opowieści pt. „Down The Road. Zespół w trasie”.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Spotkanie z Przemkiem Kossakowskim było jednym z najbardziej licznych „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” – sala widowiskowo-kinowa Radzyńskiego Ośrodka Kultury pękała w szwach. Na pewno publiczność przyciągnęło nazwisko gościa. Z drugiej strony – magnesem stał się temat. Był nim program „Down The Road. Zespół w trasie”, polegający na podróżowaniu po Europie z osobami z zespołem Downa. Jego trzy sezony zostały

już wyemitowane w telewizji TTV. – „Down The Road. Zespół w trasie” to program telewizyjny, który stał się zjawiskiem społecznym, w efekcie którego zmieniło się postrzeganie niepełnosprawności intelektualnej, podejście do osób z zespołem Downa – mówił Przemek Kossakowski. – Nie chciałem zmienić świata, zmienili go bohaterowie, rozkochali w sobie większość Polaków. Wcześniej mieliśmy obawy, jak program zostanie odebrany przez widzów, czy Polacy są na to przygotowani. Okazało się, że my, Polacy, jesteśmy wspaniali. Miał to być pojedynczy program, powstały już 3 sezony. Obawiano się hejtu, krytyki, że komercyjna telewizja, która zrealizowała prześmiewcze programy takie jak „Damy i wieśniaczki” czy „Królowe życia”, będzie wykorzystywać osoby niepełnosprawne intelektualnie. Stąd też wielkie poczucie odpowiedzialności. Podróżnik przyznał, że przed przystąpieniem do realizacji temat był mu nieznany. Taka była formuła belgijskiego formatu, zakupionego do realizacji w Polsce: prowadzący reprezentuje wiedzę przeciętnego widza, poznaje temat stopniowo już na planie.

Przemek Kossakowski przyznał, że projekt zmienił także jego samego, przewrócił jego życie. – Udział w programie zahamował moją karierę telewizyjną. Jestem celebrytą na uchodźstwie – wyznał. Obecnie w Wojsławicach w województwie lubelskim kieruje ośrodkiem dla osób niepełnosprawnych „Arterytorium”, gdzie prowadzi terapię za pomocą sztuki.

W barwnej, żywej, pełnej humoru i wzruszeń opowieści skupił się głównie na pierwszym sezonie, w szczególności na pierwszych dniach realizacji programu.

Bąłem się, czy to uniosę

Na spotkanie z uczestnikami programu pojechał w wielkim stresie, miał mnóstwo obaw. Wiedział, że od pierwszego nawiązania relacji wiele zależy. – Bąłem się, czy to uniosę – wyznał. I tu nastąpiło pierwsze zaskoczenie, które pozwoliło mu się „pozbyć połowy strachu”. Z pierwszego samochodu, który przyjechał na umówione miejsce spotkania, wysiadł Grzegorz Braun – podszedł do niego, objął go, powiedział „Lubię cię”. Podobnie zachowywali się wszyscy pozostali uczestnicy.

Mimo to jeszcze był w strachu, co widać było na zaprezentowanym zdjęciu, na którym na ustach miał szeroki, „telewizyjny” uśmiech, ale w oczach przerażenie. Na kolejnej fotografii już śmiał się szczerze. Roześmiał się, gdy po długim opędzaniu się od uprzykrzonej muchy usłyszał od Grzegorza radę: „Daj jej spokój, przecież ona cię kocha”. I tak było dalej.

Co cechuje osoby z zespołem Downa? Niewiarygodne, niekonwencjonalne, nieprzewidywalne, spontaniczne, emocjonalne reakcje i zachowania, szczerość „do bólu”, wielka wrażliwość i niesamowita intuicja, dostrajanie się do uczuć innych osób. – To był spacer po dnie telewizyjnego piekła, każdy plan był wywrócony, każdy dzień – nieprzewidywalny. Wszystko, co wymyśliliśmy, oni zrobili inaczej, nie reagowali tak, jak przewidywaliśmy. Gdy chciałem się pośmiać, czytałem przygotowany wcześniej scenariusz. Udało nam się go zrealizować tylko w 10%. Jednak były wielkie pozytywne zaskoczenia. Uczestnicy sami tworzyli scenariusz programu – na żywo. – wspominał Przemek Kossakowski.

Scenariusz pisali bohaterowie programu

Już po czterech godzinach jazdy, na pierwszym postoju, Michał Milka wyznał mu, że się zakochał w Dominice, planuje wspólne życie, dzieci. Podobnie było w drugim sezonie: między startem a pierwszym postojem narodziła się miłość między dwojgiem uczestników, czego nie dało się przewidzieć w scenariuszu.



Fot. Tomasz Młynarczyk



Fot. Tomasz Młynarczyk

Uczestnicy mieli nocować pod namiotami. W drodze rozmawiał z nimi na ten temat – wszyscy, szczególnie męska część uczestników – przyjęli to z zapalem. Okazało się, że po dotarciu na miejsce, chłopcy się zbuntowali przeciw warunkom biwakowym, spodziewali się noclegu w 5-gwiazdkowym hotelu. Dziewczęta szybko zaakceptowały warunki. Gdy wydawało się, że nic ciekawego się już tego dnia nie wydarzy, Ola zapatrzyła się w niebo, zobaczyła spadającą gwiazdę, i to stało się powodem, że przy ognisku zaczęli mówić o swoich marzeniach. Pragnęli tego, co jest normą dla każdego normatywnego: samodzielnego życia, pracy, relacji, własnej rodziny, podmiotowości. – Ale wiemy, że oni nam na to nie pozwolą – powtarzali wielokrotnie. Rozmowa była wstrząsająca, szczerza, otwarta, ale trudna i gorzka. Dla nich nasza norma jest nie do osiągnięcia. Kloszujemy ich, ubezwłasnowolniamy, planujemy ich przyszłość. Tylko nieliczni znajdują zatrudnienie – dodał gość „Spotkań”.

Ludzie z telewizji nie są wrażliwi, emocje wykorzystują do swoich komercyjnych celów, zachowują dystans do realizowanych materiałów i ich bohaterów. Tu było inaczej. W trakcie tej rozmowy zauważył łzę płynącą po policzku reżysera. – Wytworzyły się silne emocje, stworzona została niesamowita więź – podsumował Przemek Kossakowski.

W Chorwacji grupie urządzono spływ do plaży, na której były kręcone sceny wielkiej bitwy między siłami dobra i zła do filmu „Opowieści z Narnii – książę Kaspian”. – Osoby z zespołem Downa kochają literaturę fantasy, w drodze przeprowadzili rozmowy, które pozwalały spodziewać się rewelacyjnych reakcji na plaży, popuszczenia wodzów fantazji. Po godzinie spływu, gdy wyszli na brzeg – okazało się, że są obojętni na wspaniałą scenerię, zainteresowani innymi, bardzo przyziemnymi sprawami, nie zwracają uwagi na otoczenie. Aby wzbudzić uczucia, ożywić akcję, wymyślił, że podczas dalszego spływu wypadnie z pontonu. Najpierw zaczął się „topić” chorwacki przewodnik, gdy nie zareagowali, sam „wypadł” z pontonu. Na obydwu „wypadki” zareagowali obojętnie. Wtedy z pontonu wypadła Ola – wszyscy się rzucili na ratunek, zrobiło się niebezpiecznie i bardzo nerwowo. Uspokojenie przyniosła medytacja. W jej trakcie Ola stwierdziła: „Widzę Narnię”. Chorwacki przewodnik stwierdził: „Ona powinna dostać Oskara”.

Polacy pokochali bohaterów „Down The Road. Zespół w trasie”

Przemek Kossakowski wyrażał wdzięczność i podziw dla rodziców, którzy zgodzili się, by ich dzieci uczestniczyły w projekcie. – Choć uczestnikami były osoby dorosłe w wieku 21-36 lat, to osoby z zespołem Downa są do końca życia pod stałą opieką rodziców, opiekunów znających te osoby i ich problemy. Tu na 3 tygodnie zostali powierzeni nieznanym ludziom, choć grupie towarzyszył pion terapeutyczny. Opiekunowie mogli się też obawiać o ostateczny efekt, czy nie będzie to program prześmiewczy i nie skrzywdzi ich dzieci. – Telewizja umie takie rzeczy robić – grać na wywołanie prostych emocji, potraktować bohatera programu instrumentalnie – tak, jak chce – mówił podróżnik. Nie taki jednak był cel programu.

Miesiąc przed emisją rodzice zobaczyli 2 pierwsze odcinki i zrozumieli, że program nie chce zrobić krzywdy ich niepełnosprawnym dzieciom. Po pokazie były łzy wzruszenia, podziękowania. Polacy pokochali bohaterów „Down The Road. Zespół w trasie”, w Polsce zmieniło się postrzeganie osób z zespołem Downa. – Matka 4-letniej dziewczynki z zespołem Downa mówiła mi, że wcześniej ludzie na ulicy unikali jej wzroku, teraz się uśmiechają, pozdrawiają, zagadują. Ma wrażenie, że idzie z księżniczką – wspominał Przemek Kossakowski. Zazwyczaj po zakończeniu realizacji programu kończą się relacje z ich bohaterami. Tu było inaczej: więzi trwają, odbywają się spotkania, rozmowy telefoniczne. Po emisji programów, stali

się sławni, zapraszani na imprezy i programy telewizyjne jako goście, okazało się że świetnie tam sobie radzą, prezentują swoje umiejętności i talenty. Są rozpoznawalni. Stawali na ściankach, pozowali przygodnym osobom, które chciały mieć z nimi selfie.

Anna Wasak

23-11-2022

Podróżowanie powinno być obowiązkowe!

Wywiad Roberta Mazurka z podróżnikiem Przemkiem Kossakowskim

W czym tkwi fenomen Przemka Kossakowskiego? Pytam, bo ludzie chętnie przychodzą na spotkania z Tobą, czego byliśmy świadkami m.in. w Radzynie.

Trudno być sędzią we własnej sprawie. To, co wydarzyło się w Radzynie, było fantastycznym doświadczeniem. Do swoich spotkań nie podchodzę beznamiętnie, na zasadzie: kolejna miejscowość, odbębnię swoje i pojedę do domu. Dzisiaj w Radzynie była świetna atmosfera i chyba było widać jak się odpaliłem.

Może przychodzą, bo traktują cię jako „swojego”, zwykłego człowieka, który nie stał się celebrytą?

Bardzo bym chciał, by tak było. Jeżeli uważasz, że tak jest, to biorę to za dobrą monetę.

Byłeś nauczycielem plastyki, wyprowadziłeś się na wieś, chciałeś zostać pełnoetatowym malarzem... Czy coś zostało z tych marzeń?

Niestety, niewiele, co mówię z przykrością. Już nie maluję, bo po prostu nie mam czasu. Najpierw dlatego, że byłem częścią telewizji, a obecnie nie mam czasu, bo prowadzę Arterytorium. Udoskonalam to miejsce dla osób niepełnosprawnych umysłowo i nie mam czasu na malowanie, nad czym bardzo boleję.

Na pewno śladem twojej pasji malarskiej jest okładka wydanej niedawno książki pt. „Drobna nieuważność i inne historie”, na której znajduje się twój autoportret...

To prawda. Autoportret znalazł się na okładce, gdyż książka jest bardzo osobista. Opowiada o świecie, w którym byłem, zanim stałem się osobą popularną i zacząłem pokazywać się w telewizji. To był świat ludzi ciężko pracujących w polu lub na budowie, aby zarobić na utrzymanie. Sam tak robiłem. W życiu, tak jak każdy z nas, spotkałem wiele zwykłych osób. Słuchałem ich historii, a nawet byłem częścią ich życia. Postanowiłem, że to opiszę i tak powstała ta książka.

Momentami historie te wydają się nieprawdopodobne...

W większości są to moje wspomnienia, a wspomnienia mają to do siebie,

że jak umieszczają się w naszej głowie, to żyją własnym życiem. Niektóre mają już kilkanaście lat i czasem zastanawiam się, ile z tego wydarzyło się naprawdę, a ile mój umysł dołożył od siebie. Mogę powiedzieć, że wszystkie sytuacje, które opisałem w książce, są prawdziwe. Natomiast na ile je wiernie opisałem, to ciężko mi już powiedzieć.

Bardzo ujęła mnie historia zatytułowana „Pokój babci”. Chciałeś wynająć dom na wsi, ale jego właściciele zastrzegli, że zgodzą się pod warunkiem, że jeżeli babcia, która kiedyś mieszkała w tym domu, umrze to przez trzy dni w jednym z pokoiów będzie okazane jej ciało w trumnie. O czym tak naprawdę jest ta opowieść?

Historia ta jest stosunkowo świeża, gdyż wydarzyła się około 5 lat temu. Byłem wtedy na takim etapie życia, że chciałem wyjechać z Warszawy i zamieszkać gdzieś na wsi. Trafiłem na Podlasie. Historia opowiada o świecie, który powoli odchodzi. I w tym świecie zmarłego żegna się w otwartej trumnie, w jego własnym domu, odwiedzają go żałobnicy, przychodzą sąsiedzi na czuwanie. Bohaterowie tej historii - mama i syn, którzy chcieli wynająć mi mieszkanie, zdawali sobie sprawę z tego, że ich tradycje przestają pasować do współczesnych zwyczajów, ale nie chcieli się ich pozbywać, rezygnować z nich na potrzeby nowoczesności. Robili to przede wszystkim ze względu na babcię, bo babcia by tego pragnęła, a przecież chodziło o oddanie jej szacunku.

Wróćmy do początku twojej kariery w telewizji. Jak do tego doszło, że zarejestrowany w urzędzie pracy artysta malarz, nigdy niezwiązany z mediami, dostał propozycję zrobienia programu telewizyjnego?

Na początku byłem zatrudniony w telewizji na miesiąc jako dokumentalista. Nie miałem żadnego doświadczenia, dlatego wszystko, czym się zajmowałem, robiłem na opak. Było to na tyle dziwne, świeże i nowe, że zaproponowano mi prowadzenie własnego programu. Zająłem się problematyką magii ludowej i tradycyjnych metod leczenia. W tym momencie chciałbym zatrzymać się na chwilę, gdyż początkiem tego wszystkiego była opowieść mojego szwagra o kobiecie mieszkającej tutaj, na wschodzie Polski. Była ona ortopedą i mówiło się na nią Selwinka. W Radzynie chyba wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. Szwagier opowiadał, jak jego znajomy miał kłopot z barkiem, a ona go nastawiła. Historia ta została we mnie. Podczas burzy mózgów w telewizji, mającej wykreować nowe pomysły na programy, rzuciłem pomysł pokazania takich ludzi. Spodobał się on innym i wtedy też

dostałem propozycję pracy w telewizji, a później prowadzenia własnego programu. Kilka lat później, jak już byłem znaną osobą, kupiłem bombonierkę i pojechałem do Tarła. Wprosiłem się do Selwinki tylko po to, by jej podziękować. Zdawałem sobie sprawę, że nie jest świadoma, że w jakimś sensie zaważyła na mim losie. Co znamienne, nie wiedziała też, kim jestem. Wszyscy ludzie przed domkiem rozpoznali mnie, a ona nie. To było też wzruszające.

Dostałeś się do telewizji i okazało się, że nie masz problemu z tym, by ktoś rozpalil ci ognisko na głowie, by wykąpać się we krwi zwierząt lub odbyć symulację porodu. Zawsze miałeś w sobie potrzebę przekraczania granic?

I tak i nie. Zanim zacząłem pracować w telewizji, byłem spokojnym człowiekiem. Spotykając znajomych z czasów młodości, często słyszałem od nich: „Stary, co się z tobą stało? Zawsze byłeś taki spokojny.” W istocie mam w sobie duży spokój, ale mam też rodzaj szaleństwa. To się tak wymienia. Potrafię zamknąć się i siedzieć w ciszy przez całe tygodnie, ale potem potrafię pojechać gdzieś, gdzie jest totalny zgiełk, wrzawa i tam też swobodnie funkcjonuję i cieszę się z tego.

Co się w Tobie zmieniło, odkąd zacząłeś prowadzić programy podróżnicze?

Kontakt ze starymi kulturami, które odchodzą bezpowrotnie, nauczył mnie wiele o świecie i o sobie samym. Zacząłem zadawać pytania i słuchać, a przede wszystkim nie oceniać ludzi, o których nie mam pojęcia. Doświadczyłem wielu gorzkich lekcji. Podróżując po świecie miałem pewne wyobrażenia o nim. Pojawiając się w najodleglejszych zakątkach, często byłem rozzarowany i miałem żal do tych ludzi, do świata, że nie wygląda tak jak go sobie wyobrażałem. Zrozumiałem wtedy, że typowe myślenie Europejczyka jest myśleniem człowieka przepełnionego poczuciem wyższości. Tak naprawdę chcąc być uczciwymi ludźmi powinniśmy szanować innych i brać jedynie to, co nam oferują. I nie wymagać więcej.

Potem przyszła pora na „Down the Road. Zespół w trasie”. Jak to się stało, że to Ty stanąłeś na czele wyprawy z dorosłymi ludźmi z zespołem Downa?

Gdy zaproponowano mi taki format, uznałem, że jest to na tyle nadzwyczajne i na tyle świeże, że warto w to wejść. Wyobrażałem sobie, że będzie to świetny i wyjątkowy program telewizyjny. Tak naprawdę zgadzając się nie wiedziałem, że produkcja stanie się zjawiskiem społecznym i odmieni zupełnie moje życie. W tej chwili jestem praktykującym art terapeutą, kończę

też studia na Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Kupiłem dom, w którym stworzyłem przyjazne miejsce dla osób z niepełnosprawnościami intelektualnymi. To, co na początku wydawało mi się fantastyczne i nadzwyczajne, ale jednak tylko programem telewizyjnym, okazało się nieprawdopodobną siłą, która zmieniła moje życie.

A myślisz, że te programy czegoś nauczyły Polaków? Zmieniły obraz osób niepełnosprawnych?

Myślę, że nawet bardzo dużo. Program „Down the Road. Zespół w trasie” przede wszystkim otworzył nasze społeczeństwo i pozwolił pozbyć się lęku przed osobami niepełnosprawnymi. Ludzie tak do końca nie wiedzieli, kim są osoby z zespołem Downa i obawiali się ich zachowań. Dzięki programowi zobaczyli, że są to radośni, otwarci i dobrzy ludzie. Ludzie, z którymi warto się zaprzyjaźnić. Po tym, jak program został wyemitowany, rodzice dzieci z zespołem Downa mówią mi, że zalała ich fala uśmiechów. To właśnie oni mi opowiadają, jak odmieniło się postrzeganie osób niepełnosprawnych. Przechodnie na ulicach uśmiechają się do ich dzieci, zagadują, są o wiele bardziej serdeczni. Mamy jeszcze bardzo dużo pracy do wykonania w tym temacie, ale naprawdę nie jest już tak źle.

Pod wpływem tego programu, doświadczeń pracy z osobami niepełnosprawnymi, otworzyłeś ośrodek pracy twórczej Arterytorium. Czym jest to miejsce?

Kupiłem w tym celu wielki dom, o wiele większy niż potrzebuję. W pewnym sensie jest to ośrodek, jednak unikam tego sformułowania. Jest to przyjazny dom dla osób z niepełnosprawnościami intelektualnymi. Odbývają się u mnie cykliczne turnusy, podczas których proponujemy zajęcia terapeutyczne w oparciu o sztukę. Mamy m.in. plastykoterapię, teatroterapię i muzykoterapię. Oczywiście nie wszystko prowadzę osobiście, odpowiedzialny jestem jedynie za wycinek związany z plastykoterapią. Pozostałą częścią zajmują się specjaliści i tak naprawdę to oni stanowią o wyjątkowości tego miejsca. Jesteśmy po pierwszym sezonie i w chwili obecnej poprawiamy kilka rzeczy, by udoskonalić to miejsce.

Pół roku temu rozstałeś się z telewizją, otworzyłeś ośrodek pracy twórczej dla osób niepełnosprawnych Arterytorium, a ostatnio wydałeś książkę. Zacząłeś nowy rozdział w życiu?

Tak właśnie to traktuję. Dla porządku dopowiem, że nie zerwałem z telewizją, tylko zawiesiłem w niej swoją działalność. Faktem jednak jest, że

od siedmiu miesięcy jestem poza szklanym ekranem i prawdę mówiąc nie mogę powiedzieć, że specjalnie za nim tęsknię. Nie mam pojęcia, gdzie ta droga mnie zaprowadzi, ale jest mi w tej chwili bardzo dobrze. Realizuję się i pierwszy raz w życiu mam wrażenie, że jestem częścią czegoś naprawdę dobrego w rozumieniu etycznym i moralnym.

A ile w tym twoim nowym życiu jest miejsca na podróż?

Według mnie podróżowanie powinno być obowiązkowe dla każdego! Dzięki niemu zyskujemy unikalną perspektywę, z której możemy spojrzeć inaczej na siebie samych. Jest to bardzo ważne i zamierzam o to przez cały czas dbać. Po pierwszym sezonie działalności Arterytorium byłem w takim stanie, że wsiadłem w samochód i pojechałem na Bałkany. Włączyłem się poza utartymi szlakami. Byłem w Kosowie, Albanii, Bośni i Hercegowinie. Było mi to naprawdę potrzebne. W niedalekiej przyszłości zamierzam pojechać do Izraela i zobaczyć, jak wygląda życie w Autonomii Palestyńskiej. Potem myślę o Azji, ale nie wiem, czy znajdę na to czas. Zawsze podróżuję bez większego przygotowania, gdyż wierzę, że wszędzie można spotkać dobrych ludzi.

W takim razie życzę spełnienia wszystkich planów i mam nadzieję, że na Twoim podróżniczym szlaku od dzisiaj będzie już Radzyń...

Radzyń jest fantastycznym miejscem i trochę mi wstyd – nie powinienem się chyba przyznawać – ale nie wiedziałem, że macie taki pałac.

17-11-2022



Fot. archiwum Adama Jarniewskiego

Adam Jarniewski urodził się w Elblągu, wychował w Miastku, germanistykę studiował w Poznaniu. Seria szczęśliwych przypadków sprawiła, że w 2006 roku zamieszkał w Sisimiut na Grenlandii, założył tam rodzinę i wiedzie spokojne życie tuż za kołem podbiegunowym. Pracuje jako nauczyciel w szkole średniej. Jego pasje to przede wszystkim przebywanie na łonie natury oraz wędkarstwo. Publikuje m.in. w czasopiśmie „Zew Północy”. Swoje wrażenia z pierwszych lat spędzonych na największej wyspie świata opisał w książce „Nie mieszkam w igloo. Dekada życia na Grenlandii” (2018). W 2021 roku ukazała się jego druga pozycja, tym razem skierowana do dzieci i młodzieży. W „Listach z Grenlandii. Na arktycznym szlaku” w rolę narratorki wciela się najstarsza córka autora, która zabiera swoich polskich rówieśników w podróż po Arktyce. Adam prowadzi profil Poznaj Grenlandię (FB, Instagram, YT), na którym szczerze relacjonuje bolączki i radości polarnego życia.

Grenlandii bardzo trzymają się stereotypy

Wywiad Roberta Mazurka z Adamem Jarniewskim, autorem książek „Nie mieszkam w igloo” i „Listy z Grenlandii”

Twoja przygoda z Grenlandią, która trwa już ponad dekadę, to seria czystych przypadków i spontanicznych decyzji. Jak trafiłeś do tego jedyne w swoim rodzaju miejsca?

Tak, na Grenlandii mieszkam od 16 lat. Studiowałem w Poznaniu filologię duńską, dostałem stypendium i trafiłem do Danii na Uniwersytet Ludowy. Tam już pierwszego dnia moją uwagę zwróciła dziewczyna o egzotycznej, hawajskiej urodzie. Dużo czasu minęło, zanim się lepiej poznaliśmy. Okazało się, że Birthe pochodzi z Grenlandii.

Stypendium się skończyło, ukochana została w Danii, ja wyjechałem pracować do Anglii. To było ciężkie rozstanie, ale udało się nam utrzymać kontakt. Z czasem Birthe wróciła do swego rodzinnego domu, a ja nie brałem wtedy jeszcze pod uwagę możliwości zamieszkania w jakimś 5-tysięcznym miasteczku na końcu świata. Mój tok myślenia zmienił się, gdy pewnego marcowego poranka spojrzałem na telefon komórkowy, który pokazał kilkanaście nieodebranych połączeń z numerem zaczynającym się od +299. Tego dnia dowiedziałem się, że za kilka miesięcy zostanę ojcem. Wyruszyłem do Sisimiut. Przyjechałem tu w czerwcu 2006 roku i tak zostałem.

Co było dla ciebie najtrudniejsze po przeprowadzce na Grenlandię?

Wiele rzeczy było trudnych, to przecież przeprowadzka w zupełnie inny klimat, dosłownie i w przenośni. Najtrudniejsze były chyba kwestie kulturowe, sposób życia na największej wyspie świata. Do pogody łatwiej się było przyzwyczaić. Jak przyjeżdżasz na Grenlandię, nikt nie daje ci „instrukcji obsługi” tego miejsca, ludzie oczekują raczej, że wiesz, jak oprawić fokę czy renifera, jak jeździć skuterem śnieżnym. Wszyscy myślą, że potrafisz się zachować, będąc pasażerem na psim zaprzęgu oraz na przyjęciu urodzinowym, które tutaj odbywa się na zupełnie różnych zasadach niż przyjęty w Polsce model „u cioci na imieninach”.

Na akceptację oczywiście trzeba sobie zapracować. Na Grenlandii jest spory przepływ siły roboczej, szczególnie z Danii, więc nikt nie traktuje cię poważnie ani nie inwestuje w znajomość z tobą, zanim nie okaże się, że zostajesz na dłużej. Coś w rodzaju wrodzonej odporności na zawieranie przyjaźni, której uczysz się na własnych błędach.

W książce „Nie mieszkam w Igloo” napisałeś, że w polowaniach odnalazłeś samego siebie i to one pozwoliły ci przetrwać trudny okres w nowym otoczeniu. Możesz tę myśl rozwinąć...

Hmm, nie wiedziałem, że mam na ten temat tak głębokie przemyślenia. Nie da się opowiadać o Grenlandii bez wspomnienia polowań, to integralna część naszej codzienności. Był to bez wątpienia jeden z ważniejszych elementów asymilacji. Polska i Grenlandia pod tym względem to dwa różne światy. Statkiem z Danii co tydzień przyprawiają artykuły spożywcze. Są warzywa i owoce, mrożonki. Również mięso. Asortyment nie zawsze jest bogaty, a ceny wysokie. Czasem, gdy drogę morską odetnie lód, brakuje nawet podstawowych produktów, ale nigdy nie jest tak, że jesteśmy zdani tylko na polowania. Strzelanie do zwierząt wynika z wielowiekowej tradycji. W Polsce ani ja, ani nikt z mojej rodziny nigdy nie polował, a tu stało się to naturalne. Wchodzisz do pokoju nauczycielskiego, wszyscy rozmawiają o polowaniu na renifery: Gdzie byłeś? Ile upolowałeś? A jakie były? Grube? Niegrube? A jaki kaliber? To przychodzi naturalnie i zaczynasz tym żyć.

O Grenlandii krąży wiele stereotypów – chociażby takie, że jeździ się tam głównie psimi zaprzęgami i mieszka w igloo. Czy to naprawdę stereotypy?

Tak, Grenlandii bardzo trzymają się stereotypy. Psie zaprzęgi to dziś głównie rekreacja, a w igloo nigdy nie mieszkało. Ze stereotypami na temat Grenlandii spotykam się za każdym razem, kiedy jestem w Polsce. Igloo jest jednym z nich. Mieszkamy oczywiście w domach, które najczęściej są budowane z drewna. Mamy centralne ogrzewanie, prąd i internet. Pod niektórymi względami to Polska musi równać do Grenlandii, a nie odwrotnie. Mówię tu nie tylko o technologii, ale i o kwestiach światopoglądowych. Grenlandia to dziś rozwinięty kraj, czasy Anaruka już dawno minęły. Trzeba jednak dodać, że ze względu na położenie geograficzne, demografię (56 tys. ludzi na powierzchni 2 mln km kwadratowych) i surowy klimat kraj ten musi podolać wielu wyzwaniom i ten fakt należy zrozumieć, zanim zaczniemy oceniać stosowane tu rozwiązania.

Nazwa wyspy oznacza „zielony kraj”. Nie jest to przypadkiem „delikatne” nadużycie?

Tak, Grenlandia to nazwa „marketingowa” nadana przez Eryka Rudego, by ściągnąć osadników na tę skutą lodem wyspę. Z rzeczywistością ma mniej więcej tyle wspólnego, co reklamy leków w polskiej telewizji.

Jesteś nauczycielem w grenlandzkiej szkole. Czym różni się ona od tej w Polsce?

Praktycznie całe moje nauczycielskie doświadczenie zdobyłem na Grenlandii, dlatego porównywać mogę głównie z perspektywy ucznia polskiej szkoły. Po pierwsze, to zupełnie inny system edukacji oraz inne podejście do niektórych przedmiotów. Od nauczycieli w szkole podstawowej, w której zostałem początkowo zatrudniony, wymaga się nauczania kilku przedmiotów. Dlatego na moim pierwszym planie lekcji znalazła się m.in. religia. A to nie była jedyna niespodzianka, która czekała na mnie w Nalunnguatiut Atuarfia czyli „Szkole nad jeziorem”.

Podjmując tę pracę musiałem również przededefiniować sobie rolę nauczyciela, jaką pamiętałem z polskiej szkoły. Jest ona na Grenlandii na pewno mniej „autorytarna”. Uczniowie mówią do ciebie po imieniu, do tego Grenlandczycy często zwracają się bardzo bezpośrednio. Trochę czasu zajęło mi zrozumienie różnic w sposobie komunikacji, Grenlandczycy mają bardzo bogaty język ciała i spora część rozmowy odbywa się bez użycia słów. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że rozpoczęcie pracy w szkole już kilka tygodni po przyjeździe było rzuceniem się na dość głęboką wodę. Ale jakoś wypłynąłem i tak sobie dryfuję do dzisiaj. A jako nauczyciel irytować się chyba czasem muszę, choć Grenlandia nauczyła mnie, że niektóre problemy łatwiej rozwiązać przy użyciu humoru niż frustracji.

Wędzony renifer czy surowa skóra wieloryba to z pozycji Europy potrawy dość egzotyczne. Często królują tam na stołach?

Z renifera akurat najczęściej robi się zupę lub pieczeń, a zamiast wędzenia suszy się mięso. To bardzo pospolite mięso, szczególnie w południowo-zachodniej części wyspy. Mattak, czyli podawana na surowo skóra wieloryba jest przysmakiem jedzonym najczęściej podczas przyjęć.

Najbardziej grenlandzkie danie to...

Chyba zupa z foki.

Opowiesz o niej – jak się ją robi i jak smakuje?

W konsystencji przypomina krupnik, ale ma dużo mocniejszy, lekko tranowy smak. Nie jestem specjalistą w opisywaniu smaków, trzeba by poczęstować Makłowicza albo Gesslerową.

Po co Grenlandczykom elektryczne zamrażarki? W ogóle po co im zamrażarki?!

Zamrażarka jest ważną częścią wyposażenia AGD i to na nią wydałem część mojej pierwszej wypłaty. To może wydawać się dziwne w kraju, gdzie przez ponad pół roku panuje zima; ja sam byłem nie do końca przekonany, ale w końcu uległem perswazjom mojej partnerki. Szybko okazało się, że bez zamrażarki bardzo ciężko tu żyć.

Statek towarowy przypląwa do Sisimiut raz w tygodniu, a jak okoliczne wody skuje lód, to nawet rzadziej. Spora część produktów, które spożywamy, to mrożonki. Mrożone można tu kupić prawie wszystko, moje córki uwielbiają np. mrożone jogurty, które są dość powszechnym przysmakiem grenlandzkich dzieci. Poza tym w zamrażarce przechowujemy to, co sami upolujemy i złowimy, mięsa i ryb praktycznie nie kupujemy w sklepie. I nie jesteśmy jedynymi, którzy żyją w ten sposób. Zaopatrywanie się w mięso i ryby na własną rękę to ciągle ważny element życia na Grenlandii.

Czy obrzędy i tradycje związane ze świętami Bożego Narodzenia mocno różnią się na Grenlandii?

Cały grudzień w Sisimiut jest bardzo nastrojowy, domy są przyozdobione, a w pierwszą niedzielę adwentu do dzieci zebranych przed ratuszem zjeżdża Mikołaj z prezentami.

Tegoroczne święta spędzimy oczywiście w rodzinnej atmosferze. Od kilku lat cała rodzina mojej partnerki na Wigilię zbiera się u nas w domu. Zjemy zapewne pieczeń z renifera, którego upolowaliśmy latem. Nie zabraknie żartów o Rudolffie oraz wspomnień z długiego polowania, które jest tu pewną formą spędzania czasu razem. Dzieci nie muszą czekać na pierwszą gwiazdkę, gdyż w tym okresie praktycznie nie robi się widno. Prezenty rozlokowywane są nad ranem, przez cały dzień odwiedzają nas też dzieci rodziny i znajomych, by odebrać swoje prezenty. Zapewne pojawią się nieco zawstydzeni kołędnicy, a wieczorem można iść na pasterkę. Kościół w Sisimiut jest drewniany i ma wspaniałą akustykę. Na deser, zgodnie z tradycją, zjemy duński „ris ala mande”, czyli ryż gotowany na mleku, wymieszany z bitą śmietaną i posiekanymi migdałami. Jeden z nich wrzuca się w całości, a na szczęściarza, który go znajdzie, czeka dodatkowy prezent.

W pierwszy dzień świąt tradycyjnie je się popołudniowy bufet, my zapewne zjemy u mojej teściowej, a 26 grudnia najczęściej spotyka się z przyjaciółmi. Od rodziny też trzeba odpocząć.

W Katarze rozgrywany jest właśnie mundial. Grenlandczycy są fanami piłki nożnej?

Tak i mimo postkolonialnej przeszłości, większość z nich będzie kibicowała reprezentacji Danii.

A jak wygląda lato na Grenlandii?

Przede wszystkim panuje wówczas dzień polarny tzn. nie robi się ciemno. To bardzo specyficzne zjawisko, do którego trzeba się przyzwyczaić. Do tego lato jest krótkie, w Sisimiut, gdzie mieszkamy, ostatni śnieg w interio-rze topnieje z końcem maja, a na początku września znowu przykrywa oko-liczne szczyty. Temperatura rzadko przekracza 10 stopni, ale w porywach może dojść nawet do 20. Jak ktoś nie lubi upałów, to Grenlandia jest ziemią obiecaną.

Jednym z grenlandzkich obrazków są kolorowe domy. To tylko urozmaicenie szarej codzienności?

Dziś tak, ale kiedyś wszystkie kolory miały swoje funkcje, na przykład na żółto malowane były budynki służby zdrowia. Dzisiaj każdy może wybrać, na jaki kolor maluje swój dom.

„Kaffemik” dosłownie oznacza „daj mi kawę” i na Grenlandii jest fenomenem. Dlaczego?

Jest to przechodnia impreza, na którą zaprasza się znajomych, a w mniej-szych osadach – wszystkich mieszkańców. Nietaktem jest niepojawienie się choć na chwilę, szczególnie, gdy zostaliśmy zaproszeni osobiście. Kaffe-mik organizuje się przeważnie z okazji urodzin, do których Grenlandczy-cy przywiązują bardzo dużą wagę. Powodem do świętowania są jednak również rocznice, pierwszy dzień szkoły, a ci bardziej lubiący spotkania w większym gronie organizują go nawet w dzień zapisania pięcioletniego dziecka do szkoły.

Dość ważny jest kaffemikowy savoir vivre, który różni się nieco od tego przyjętego w Polsce. Jak już wspomniałem, jest to impreza przechodnia, a zapraszający podaje tylko czas jej rozpoczęcia i zakończenia. Z tego też powodu nie jesteśmy zobligowani do pojawienia się na konkretną godzinę, wystarczy, że zmieścimy się w podanym przedziale czasowym. To, jak dłu-go zostaniemy, zależy od tego, jak blisko jesteśmy spokrewnieni lub zaprzy-jaźnieni z organizującą kaffemik rodziną oraz od liczby obecnych gości. Po przyjściu należy usiąść do stołu, a jeśli nie ma wolnych miejsc, poczekać

chwilę, aż któryś z gości je zwolni. Gospodarz najprawdopodobniej zaserwuje nam kawę i ciasto, czasem skosztować można również grenlandzkich przysmaków jak suszona ryba, krewetki lub krab. Kiedy skończymy jeść, a w przedpokoju widzimy nowych gości, należy ustąpić im miejsca.

Podobno powiedzenie komuś „śmierdzisz” nie jest tam obraźliwe...

Tak, ale tylko dzień przed urodzinami. Dawniej na Grenlandii rzadko żywano kąpeli, mówiło się, że robi się to jedynie w dzień urodzin. Dlatego dzień przed zapach był najmniej przyjemny. Stąd tradycja, że dzień przed urodzinami mówi się do solenizanta, że śmierdzi. Nieco mnie to zdziwiło, kiedy usłyszałem tak zdecydowaną deklarację po raz pierwszy.

Za czym najbardziej tęsknisz, mieszkając na Grenlandii?

Życie na Grenlandii jest dość specyficzne. Żyjemy tu w odizolowanych od siebie miasteczkach i chociaż jest sporo perspektyw spędzania wolnego czasu, to czasem brakuje tej możliwości wybrania się na długi weekend do innego kraju. Tak po prostu dla małej odmiany. Połączenia lotnicze są bardzo drogie, a przez częste opóźnienia podróżowanie jest dość czasochłonną rozrywką. Brakuje też czasem typowo polskiego jedzenia, chociaż na grenlandzką kuchnię nie narzekam.

Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia w Radzynie Podlaskim...

Dzięki, do zobaczenia.

05-12-2022

Grenlandia – jak tam żyć?

Gościem 43. edycji „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” był Adam Jarniewski, który od 2006 roku mieszka na Grenlandii. Spotkanie odbyło się 8 grudnia w Miejskiej Bibliotece Publicznej.

Na wstępie gość opowiedział, jak trafił na Grenlandię. Nie jest typem wędrowca. W wielkim skrócie można powiedzieć, że w 2006 roku podążył tam za ukochaną, poznaną podczas studiów ze skandynawistyki. Zamieszkali w jej rodzinnym mieście Sisimiut. Obecnie tworzą szczęśliwą rodzinę, mają trzy córki.

Gdy północ stała się modna, zaczęły się pojawiać artykuły, programy w telewizji, obraz tam ukazany wydawał mu się niepełny, wykrzywiony, dlatego zaczął prowadzić blog „Poznaj Grenlandię” na Facebooku i Instagramie. Wydał dwie książki: „Nie mieszkam w igloo. Dekada życia na Grenlandii” i „Listy z Grenlandii”. Ta druga skierowana jest do dzieci i młodzieży. Z jego udziałem powstał też duży projekt – zrealizowany przez Jakuba Witka film „Zwykłe życie”, który można oglądać na YouTube.

Na końcu świata

Aby zrozumieć, jak się żyje na Grenlandii, trzeba poznać jej warunki geograficzne i klimatyczne, bo to one determinują życie mieszkańców.

Grenlandia to największa niekontynentalna wyspa. Jej powierzchnia jest siedmiokrotnie większa od Polski – wynosi ponad 2 miliony km². Wnętrze wyspy to lądolód, który zajmuje 85% powierzchni Grenlandii. Do zamieszkania nadaje się pozostałe 15% – ok. 300 tys. km². Jest to powierzchnia porównywalna z powierzchnią Polski, ale zamieszkuje ją jedynie 56 tys. osób. Na Grenlandii jest 13 miejscowości z liczbą mieszkańców powyżej 1 tysiąca, nie są one połączone siecią dróg lądowych. Po lądzie, górzystym, poprzecinanym fiordami poruszanie się jest trudne, wręcz niemożliwe. Stąd też podstawowy środek lokomocji do przemieszczania się między miejscowościami to samolot. Bilety są bardzo drogie, loty czasami mają opóźnienia nawet 2 dni. Największe miasto i stolica – Nuuk jest mniej więcej wielkości Radzyna (15,5 tys. mieszkańców). Dodać należy, że Grenlandia to autonomiczne terytorium zależne od Danii.

Mała metropolia

Od 2006 roku na stałe mieszka w rodzinnym mieście żony – Sisimiut, które jest drugim pod względem wielkości miastem Grenlandii, można powiedzieć – grenlandzką metropolią, choć liczy zaledwie... 5,5 tys. mieszkańców. – Jednak jest tu wszystko, co potrzebne do życia – twierdzi Adam Jarniewski. W niewielkim – z naszej perspektywy miasteczku – są różne instytucje charakterystyczne dla dużych miast. Mieści się: lotnisko, dom kultury z kinem, dwie szkoły podstawowe, każda po ok. 500 uczniów, szkoła średnia i zawodowa, w której można zdobyć zawód cieśli, malarza, hydraulika, obok – szkoła dla górników, a także szycia strojów narodowych. Na uczelni można zdobyć zawód inżyniera arktycznego.

W mieście jest starówka, są dwa kościoły, szpital na 20 łóżek, zatrudniający 4 lekarzy (ciężiej chorzy są transportowani do stolicy albo do Danii), obok – cmentarz. Znajduje się tam bank, centrum handlowe, siłownię, butik, księgarnia i stadion ze sztuczną nawierzchnią. W centrum położony jest port, obok przetwórnia ryb i krewetek.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Przy niewielkiej liczbie mieszkańców czymś normalnym jest monopol: – Mamy jedną linię lotniczą, jednego operatora telefonii i Internetu, 2 mechaników – lepiej się z nimi nie konfliktować – żartował Adam Jarniewski. Mówił też o skutkach ocieplenia, które odczuwalne jest na Grenlandii. – Topnieje wieczna zmarzlina pod ziemią, rozpadają się drogi, budynki, na stadionie latem zbiera się woda, a to jest problem, bo gra w piłkę jest bardzo popularna na Grenlandii. Gość „Spotkań” pokazał zdjęcia stadionu z naturalnymi trybunami umiejscowionymi w skałach.

Energia elektryczna i część ogrzewania pochodzą z elektrowni wodnej, część ciepła – ze spalarni odpadów. Woda płynie z wyżej położonych jezior. Wszystkie produkty, oprócz mięsa i ryb, sprowadzane są na Grenlandię statkami. Dostawy są w miarę regularne, pod warunkiem, że morze nie zamarznie. Gdy się to stanie, trzeba na nie długo czekać. W cierpliwość trzeba się uzbroić, gdy np. nastąpi jakaś awaria i potrzebne są części zamienne do maszyn i urządzeń. Statki przypluwające na Grenlandię z produktami zabierają na pokład ryby i krewetki. To ich sprzedaż tworzy dochód wyspy. Nawet przy braku dostaw Grenlandczykom głód nie grozi. – Każdy szanujący się Grenlandczyk dba o zapasy mięsa na zimę, poluje na renifery i ptactwo morskie, łowi ryby – dorsze, halibuty zębacz. Na wyprawach śpią na łódkach, mięso reniferów dźwigają kilometrami na plecach do domu. Potem sami je umiejętnie oprawiają, zanim zapełnią nimi zamrażarki. Trud poniesiony przy zdobywaniu pożywienia uczy szacunku do tego, co na talerzu. Grenlandczycy nie wyrzucają jedzenia – mówił Adam Jarczewski.

Po tym wstępie Adam Jarniewski zaprezentował film pokazujący życie codzienne na Grenlandii, w każdej z czterech pór roku – poczynawszy od jesieni. – Istnieje wiele stereotypów o Grenlandii, rozbijemy część z nich – zapowiedział przed projekcją. Powiedział też: – Życie na Grenlandii pod wieloma względami nie różni się od naszego życia... Tylko widok z okna jest inny.

Trudno napisać tu o wszystkim, ale o kilku aspektach życia, tych innych od naszych – warto.

Cztery pory roku

Pierwszy śnieg pojawia się w październiku, w listopadzie fiord zamarza, zaczynają się wichury. Dzień staje się krótki. Śniegu jest za mało, by korzystać z psich zaprzęgów czy skuterów śnieżnych.

Sisimiut leży 40 km na północ od koła podbiegunowego, w najkrótsze dni słońce nie wychodzi nad horyzont. Nie ma dnia ani nocy – na niebie całą dobę jest poblask jak po zachodzie lub wschodzie lub przed wschodem słońca. Grudzień mija pod znakiem przygotowań i celebracji Świąt Bożego Narodzenia. W centrum pojawia się choinka, całe miasto jest pięknie przystrajone, w pierwszą niedzielę Adwentu pojawia się Mikołaj, który zapala choinkę i rozdaje prezenty. – Potem rodzinnie idziemy do teściowej jeść renifery, które wcześniej upolowaliśmy – opowiada gość spotkania. Aby Grenlandczycy mogli godnie świętować, wypłaty styczeniowe otrzymują 20 grudnia. Pojawia się dużo śniegu, co generuje miejsca pracy, dlatego też śnieg nazywany jest białym złotem. Długie noce rozświetlane są zorzą polarną.

Najzimniejszym miesiącem jest luty. Temperatury spadają poniżej 20 stopni Celsjusza, fiordy zamarzają, lód kładzie się na zatokę, zamarza nawet otwarte morze. – Życie jednak się toczy dalej, trzeba mieć tylko odpowiednie ubranie. Dzieci są zahartowane, w przedszkolu śpią w wózkach na dworze, dopóki temperatura nie spadnie poniżej -20 stopni – mówił Adam Jarniewski. Pojawiają się wyzwania arktycznego życia. W takiej temperaturze, jak się uda uruchomić silnik diesla, to chodzi cały dzień, czasem zamarzają rury grzewcze.

W marcu dni się wydłużają – co tydzień o godzinę, robi się ciepło – do 10 stopni. – To dobry czas na uprawianie narciarstwa, wokół Sisimiut jest kilkadziesiąt kilometrów tras narciarskich. Dzieci dużo czasu spędzają na powietrzu, jeżdżą na sankach. Gruba warstwa śniegu powoduje, że wyjeżdżają psie zaprzęgi – opowiada Adam Jarniewski. W zaprzęgu biegnie minimum 10 psów, których utrzymanie jest drogie i czasochłonne, prowadzenie stada wymaga wiedzy i doświadczenia, dlatego coraz częściej zastępują je skutery śnieżne.

Maj – u nas najpiękniejszy miesiąc – na Grenlandii to czas roztopów, wszechobecnej śnieżnej brei. W czerwcu otwierają się szerokie, żywe potoki, które utrudniają poruszanie się. Całą dobę jest widno, co z kolei utrudnia zasypianie. – Dzień polarny wielu gorzej znosi jak noc polarną – mówi gość „Spotkań”.

Lato to także koniec roku szkolnego. Wakacje w szkole podstawowej dostosowane są do terminów polowań, służą gromadzeniu zapasów, stanowią one integralną część życia na Grenlandii. Wyprawiają się na nie całe rodziny z dziećmi, Rząd podtrzymuje tradycje, aby mieszkańcy Grenlandii wykorzystywali własne zasoby.



Fot. Tomasz Młynarczyk



Fot. Tomasz Młynarczyk

Adam Jarniewski pracuje w Sisimiut jako nauczyciel. Podkreśla, że w szkole jest bardzo praktyczne podejście do przekazywanej wiedzy. Na fizyce np. na konie mechaniczne przeliczają siłę psów, zastanawiają się, jak je rozstawić w zaprzęgu, na biologii zajmują się właściwościami izolacyjnymi skóry psów, na wychowaniu fizycznym pływają kajakami. Na maturze zdają 10 przedmiotów – pięć wybranych przez ucznia i pięć wylosowanych.

W szkole średniej nierzadkie są przypadki uczniów w wieku ok. 30 lat, matek z dziećmi. Najpierw pracują, zakładają rodziny, potem robią maturę. Inne jest też podejście nauczyciela – ważna jest relacja, bliski kontakt z uczniem, nie surowość i dyscyplina.

Czy Grenlandia budzi zainteresowanie? Chyba tak, bo jak stwierdził Adam Jarczewski, mimo surowych warunków klimatycznych, kwitnie tam turystyka. Na wielkich statkach jednorazowo do 5-tysięcznej miejscowości przybywa 2,5 tys. osób. Jednakże dla Grenlandczyków to żadna korzyść. – Turyści mają ze sobą jedzenie, zostawiają śmieci. Czasem wykupują wycieczki.

Spotkanie zakończyło się jak zawsze wręczeniem gościowi spotkania dwóch pamiątek: medalu „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” i karykatury.

Na „Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami” zaprosił Burmistrz Radzyna Podlaskiego Jerzy Rębek oraz Starosta Radzyński Szczepan Niebrzegowski, a także organizatorzy: Radzyński Ośrodek Kultury i działające przy nim Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik”. Sponsorami wydarzenia byli: firma drGerard, Nadleśnictwo Radzyń Podlaski, Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych oraz Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Radzynie Podlaskim. Patronat nad spotkaniem objął ogólnopolski miesięcznik „Poznaj Świat”, portal Kocham Radzyń Podlaski, Telewizja Radzyń, Biuletyn Informacyjny Miasta Radzyń i Informator Powiatowy.

Anna Wasak
13-01-2023



Fot. archiwum Marcina Meller

Marcin Meller urodził się 23 października 1968 r. w Warszawie. Miłośnik ruskich pierogów i pogranicza Warmii i Mazur, gdzie między Reszłem a Mrągowem spędza lepszą połowę życia. Razem z żoną Anną Dziewit-Meller napisał bestsellerową książkę „Gaumardzos! Opowieści z Gruzji” (2011), za którą otrzymali Nagrodę Magellana w kategorii książek podróżniczych.

Historyk z wykształcenia, przez 12 lat reporter „Polityki”, dziennikarz telewizyjny. Od 2003 do 2012 roku redaktor naczelny „Playboya”, w latach 2016-2020 dyrektor Grupy Wydawniczej Foksal. Gospodarz „Drugiego Śniadania Mistrzów” w TVN24 i współprowadzący „Dzień Dobry TVN”. Felietonista „Newsweeka”. Opublikował zbiory reportaży „Między wariatami. Opowieści terenowo-przygodowe” (2013), felietonów „Sprzedawca arbuzów” (2016), „Nietoperz i suszone cytryny” (2019) oraz powieść sensacyjną „Czerwona ziemia” (2022).

Gruziński alfabet z Marcinem Mellerem

Radzyński Ośrodek Kultury i działające przy nim Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik” zaprosili na spotkanie z historykiem, dziennikarzem i prezydentem telewizyjnym Marcinem Mellerem. Nie bez powodu odbyło się ono w I Liceum Ogólnokształcącym. W 2019 roku placówka nawiązała współpracę ze szkołą w Gruzji i została zorganizowana wycieczka do tego kraju. Jak podkreśliła dyrektor Ewa Grodzka, mimo dużej odległości dzielącej nasze kraje, Polaków i Gruzinów wiele łączy – zarówno historia jak i współczesność. Oba kraje zmagaly się w walce o niepodległość, którą odzyskały w 1918 roku, jednakże Gruzja wkrótce ją straciła, podczas gdy Polsce udało się ją obronić w 1920 roku. Gruzja proklamowała niepodległość w 1991 roku. Gdy została zaatakowana przez Rosję w 2008 roku, Prezydent Lech Kaczyński zainicjował spotkanie w Tbilisi, na które oprócz prezydenta Polski, przybyli prezydenci Łotwy, Litwy, Estonii i Ukrainy. Prezydent L. Kaczyński powiedział tam słynne, prorocze słowa: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, potem kraje bałtyckie, a później może przyjdzie kolej i na mój kraj.”



Fot. Tomasz Młynarczyk

Osnową spotkania była książka Marcina Meller i jego żony Anny Dziewit-Meller pt. „Gaumardžos! Opowieści z Gruzji”. Nagrodzona Nagrodą Magellana w konkursie na najlepsze książkę podróżniczą, jest dotychczas najlepiej sprzedającą się książką o Gruzji, choć od jej premiery wydanych zostało kilkanaście książek o tym kraju. Co znaczy tytuł? „Gaumardžos” jest formą toastu, znaczy „życzę ci zwycięstwa” albo w skrócie „na zdrowie”. Słowo symbolizuje dominujące cechy Gruzinów: sztukę świętowania i niespotykaną radość życia. – Napisaliśmy tę książkę na fali entuzjazmu, „zaczadzenia Gruzją” – przyznał Marcin Meller.

Prowadzący spotkanie Robert Mazurek zaproponował formę wywiadu „alfabetycznego”. Poszczególne pytania skupiały się wokół haseł na kolejne litery alfabetu, ale – jak się okazało – stały się formą przeglądu najważniejszych zjawisk, aspektów życia Gruzinów. Były to opowieści żywe, barwne, pełne humoru, świadczące o fascynacji podróżnika przyrodą, historią, kulturą Gruzji, niezwykłym, „szalonym” charakterem Gruzinów.

Alfabet

Ormianie i Gruzini przyjęli chrześcijaństwo w IV wieku. Alfabet gruziński stworzył ten sam mnich, który stworzył wcześniej alfabet ormiański, z tym że gruziński jest bardziej „krągły”. Na wytłumaczenie tego jest oczywiście dowcip. Gdy Gruzini przyszli prosić o stworzenie alfabetu dla nich, ów mnich jadł właśnie makaron. Zdenerwowany, że przeszkadzają mu w konsumpcji, rzucił w nich miską. Makaron ułożył się we wzory, które odczytali jako litery. Marcin Meller przyznał, że nie mówi po gruzińsku, bo gdy 30 lat temu zaczął przyjeżdżać do Gruzji, tamtejsza wielonarodowa społeczność, na którą składali się Ormianie, Rosjanie, Ukraińcy, Kurdowie, Grecy posługiwała się językiem rosyjskim. Ponadto gruziński jest językiem bardzo skomplikowanym, nie należy do żadnej rodziny języków.

Ormianie i Gruzini walczą ze sobą na dowcipy, w których kpią wzajemnie ze swoich charakterów. Według Gruzinów Ormianie są nudni i interesowni, liczy się dla nich tylko biznes („nie mają sukcesów w koszykówce, bo żaden nie bezinteresowni nie wrzuci do cudzego kosza”), a Ormianie wytykają Gruzinom zbyt rozrywkowy charakter („Gdy Pan Bóg dzielił ziemię między poszczególne narody, Gruzini bawili się i pili. Gdy nic dla nich nie zostało, poszli do Pana Boga i powiedzieli, że pili za

Jego zdrowie. Pan Bóg się wzruszył i oddał im najpiękniejszy skrawek ziemi, który zarezerwował dla siebie”). Licytacja na sukcesy obydwu narodów kończy się stwierdzeniem, że Ormianie mieli chrześcijaństwo... 300 lat przed Chrystusem.

Batumi

Miejscowość tę znamy z piosenki, która mówi o „herbacianych wzgórzach Batumi”. Tymczasem nie ma tam już „herbacianych wzgórz”, bo Rosjanie zniszczyli uprawy.

Położone na wybrzeżu, w bliskości granic z Turcją i Iranem Batumi, stało się swoistym „Las Vegas”, z absurdalnymi wieżowcami, kasynami, wielonarodowym multi-kulti. Tłumy Irańczyków przyjeżdżają tu, by pić alkohol, bo u nich obowiązuje szariat, Turcy – bo tu tanio. – To ciekawe, ale dziwne miejsce, taki interesujący koszmar. Jak nie muszę, to tam nie jadę – podsumował Marcin Meller.

Czacza

To wódka z wyłoczyn winogronowych, bardzo mocna. – Każdy, kto był w Gruzji, miał bolesny kontakt z czaczą – stwierdził gość „Spotkań” i wspominał swoje wesele, które odbyło się w Gruzji w 2007 roku. Wprawdzie na weselu Mellerów podawano tylko wino, ale ich polskich gości uraczyli ze spodziewanym skutkiem gruzińscy weselnicy, którzy bawili się po sąsiedzku.

Czachurlo

Słowo to oznacza polifoniczną pieśń gruzińską. Po rzuceniu tego hasła przez Roberta Mazurka, Marcin Meller rozpływał się w zachwycie nad wokalnymi talentami Gruzinów. – Mają inną skalę głosu i są wykształceni muzycznie. Na spotkaniach rodzinnych 3 pokolenia wspólnie śpiewają te same wspaniałe pieśni. Marcin Meller opowiedział, jak podczas podróży wraz z żoną trafili na uroczyste obchody urodzin komendanta policji. Jednym z utworów, jaki wykonała żona, była pieśń „O mój rozmarynie”. – Po 15 sekundach Gruzini zaczęli improwizować. To była nieprawdopodobna muzyka – wspominał M. Meller (nagranie dostępne jest na YouTube).

Drogi

Pytany o nie Marcin Meller odpowiedział dyplomatycznie, że są „specyficzne”, choć ich stan się poprawia. Jednak największym problemem są kierowcy. – To jest totalna brawura. Jeżdżą jak konno, tylko zapominają, że samochody nie mają mózgów jak konie. Wyprzedzanie na trzeciego jest przedszkolem, bo na czwartego to dopiero zabawa. Jeżdżą na czuja, bez świateł – mówił podróżnik. Przyznał, że długo nie prowadził w Gruzji, choć lubi kierować autem, bo się bał. Jak już musiał prowadzić, wypożyczył bardzo duży samochód, który budził większy respekt. Wspominał też podróż do zachwycającego miejsca po przerażającej drodze nad przepaścią. – Kilka razy było mi słabo ze strachu. Córka podróżowała w bagażniku – wspominał.

Góry

Gruzja jest po Butanie najbardziej górzystym krajem, nie ma tam kawałka płaskiego terenu. Niezwykła uroda to jedno. Możliwości uprawiania sportów: wspinaczek, narciarstwa, biegów, spacerów – to drugie. Konsekwencją historyczną ukształtowania terenu było istnienie na terenie dzisiejszej Gruzji kilku państw. Najbardziej odizolowani Swanowie zachowali pierwotne cechy wyglądu, ale i najbardziej szalony charakter. – Swanowie to Turbogruzini, szaleństwo Gruzinów jest umiarkowane w porównaniu z szaleństwem Swanów, są oni tematem dowcipów, jak u nas mieszkańcy Wąchocka – stwierdził M. Meller. Na dowód – oczywiście anegdota. Gdy mieszkańcy Kachetii – spokojni i religijni, ale zazdrośni o sławę Swanów postanowili zrobić coś głupiego i wybudowali most w miejscu, gdzie nie było rzeki, Swanowie przyszli na jego otwarcie z wędkami.

Hałas

Gruzini są hałaśliwi: nie rozmawiają, ale się „dra”, mówią podniesionym tonem. Co charakterystyczne – te same osoby używając innego języka, mówią ciszej i spokojniej. Hałas panuje na drogach, kierowcy trąbią na siebie. – Żyją na wysokich obrotach, jakby ktoś nacisnął gaz i nie puszczał – podsumował podróżnik.

Jedzenie

Tak jak naszym narodowym obrazem jest Bitwa pod Grunwaldem, obrazem Gruzinów jest uczta – gruzińska supra: czyli stół zastawiony górami jedzenia i radośni ludzie raczący się winem. – Gruzini mają genialne dania: mnóstwo fantastycznego żarcia, przyprawionego dziesiątkami ziół endemicznych, które rosną tylko tam, nawet nie mają nazw w innym języku. Talerze wyglądają jak trawniki. Każdy pobyt w Gruzji ubogaca mnie o 5 kg – mówił Marcin Meller. Każdy może spróbować gruzińskich dań w licznych gruzińskich knajpkach, a nawet zakupić mrożone w supermarketach.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Krowy

Są w Gruzji wszechobecne, chodzą luzem, nawet w centrum miasta.

Marszrutka

Omnibus, podstawowy środek lokomocji. O tym, jak funkcjonują, świadczą dwa przykłady przytoczone przez gościa „Spotkań”. W trakcie jazdy kierowca odebrał telefon, że urodził mu się wytęskniony syn. Zaraz zjechał z pasażerami do najbliższej knajpy i zafundował wszystkim im-

prezę, która trwała ok. 7 godzin. Oczywiście kierowca ani żaden pasażer gruziński nie był w stanie prowadzić. Za kierownicą zasiadł Polak. W marszrutkach wszyscy pasażerowie muszą siedzieć w trakcie jazdy. Gdy dwoje znajomych Polaków chciało jechać, a było tylko jedno miejsce, kierowca kazał wysiąść wszystkim, pojechał gdzieś, wrócił z dodatkowym fotelem, który przylutował. I zabrał wszystkich.

Owoce

Ziemia w Gruzji jest bardzo żyzna, dlatego jest tam mnóstwo smacznych i wielkich owoców. Szczególnie imponujące są monstrualne arbuzy. Na targach układane są z nich piramidy.

Policja

Do rewolucji róż w Gruzji była bardzo skorumpowana. Po rewolucji 90% milicjantów zostało wyrzuconych, zatrudniono nowych. W ten sposób korupcja się skończyła. Jest to wielki sukces gruziński, gdyż stan ten nadal się utrzymuje, gruzińska policja jest wolna od korupcji.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Rewolucja róż

Gruzja odzyskała niepodległość w 1990 roku, w latach 90. nękały ją wojny domowe, utraciła Abchazję, w czym swe brudne palce maczała Rosja. Były to ciężkie czasy, panowała totalna korupcja, bieda, poczucie zagrożenia, brakowało prądu nawet w stolicy. Znajomi mieszkali w Tbilisi na 9. piętrze bloku, kilka lat wchodzili do swego mieszkania na piechotę, bo nawet gdy prąd był, bali się do niej wejść, gdyż nie wiadomo było, kiedy zostanie wyłączony. Jednak nawet w takich okolicznościach Gruzini zachowywali poczucie humoru. Jeden z dowcipów mówił, że najlepsza śmierć jest przez porażenie prądem pod prysznicem, bo to znaczy, że jest i prąd, i ciepła woda.

W 2003 roku wybuchły protesty, na czele demonstracji ulicznych stanął 35-letni absolwent amerykańskiej uczelni. Ekipa 30-latków zrobiła rewolucję, zaczęła totalne reformy w Gruzji. Zrobili bardzo dużo dobrego, ale temperament i arogancja młodości sprawiły, że zaczęły się nadużycia władzy – kolejne wybory przegrali, oddali władzę, były prezydent Saakaszwili siedzi w więzieniu – to oczywista zemsta tych, co przejęli władzę – prorosyjskich miliarderów.

Stalin

Czy Gruzini kochają Stalina? Z badań wynika, że ok. 20% Gruzinów ma dobrą opinię o Stalinie, choć Gruzja bardziej ucierpiała niż inne republiki, bo oprócz zbrodni, jakich tam dokonywał, tu mścił się prywatnie. Poza tym gdy rządził w Moskwie, nigdy nie przyjechał do Gruzji, nawet na pogrzeb matki, co w gruzińskiej kulturze jest „poza skalą ocen”.

Pewien Gruzin w rozmowie na temat Stalina powiedział: „To był bandyta, ale nasz – Stalin był Gruzinem, rządził wielkim imperium. Wy mieliście tylko Dzierżyńskiego, który był pracownikiem Stalina”. To dziwna, niezrozumiała logika.

Supra

To słowo oznaczające obrus, w przenośni – określenie uczty. Uczta w Gruzji może odbywać się wszędzie, a trwać – od kilkunastu godzin do trzech dni.

Tamada to wodzirej, który czuwa, kieruje suprą, uruchamia tańce, pilnuje porządku. Jego główne zadanie to wznoszenie toastów. Nie są to jednak jak u nas wypowiedzi krótkie, jedno, rzadko – kilkudzaniowe. Gruzińskie toasty to całe przemówienia, opowieści, moralitety, poezja, trwają nawet do 20 minut. „Zbrodnią” jest pić między toastami.

Żona

Gruzja jest kobietą. Nad Tbilisi góruje wieki pomnik Matki Gruzji – z miseczką wina dla przyjaciół w jednej ręce i mieczem na wrogów – w drugiej. Społeczeństwo Gruzji jest bardziej tradycyjne, z podziałem ról na męskie i kobiece. Gruzja to kraj mężczyzn typu macho. Kobiece organizacje dopiero raczkują. Jednak w domach rządzą kobiety.

– W Gruzji zaręczyliśmy się z moją żoną, również nasz ślub odbył się w Gruzji. Poza tym chcieliśmy uniknąć „okołoweselnego cyrku”, zaprosić tylko najbliższą rodzinę – wspominał Marcin Meller. Ale kilka razy się wygadał przed znajomymi, ostatecznie do Gruzji na ich wesele poleciało 75 osób z Polski. Wesele trwało tydzień. Było o nim głośno, nawet w parlamencie pytali, co się dzieje, że grupa ok. 100. Polaków szaleje po Tbilisi.

Na „Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami” zaprosił Burmistrz Radzyna Podlaskiego Jerzy Rębek oraz Starosta Radzyński Szczepan Niebrzegowski, a także organizatorzy: Radzyński Ośrodek Kultury i działające przy nim Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik”. Sponsorami wydarzenia byli: firma drGerard, Nadleśnictwo Radzyń Podlaski, Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych oraz Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Radzynie Podlaskim. Patronat nad spotkaniem objął ogólnopolski miesięcznik „Poznaj Świat”, portal Kocham Radzyń Podlaski, Telewizja Radzyń, Biuletyn Informacyjny Miasta Radzyń i Informator Powiatowy.

Anna Wasak
13-02-2023

Gruziński stół jest miejscem integracji społecznej

Wywiad Roberta Mazurka z Marcinem Mellerem, współautorem książki „Gaumardżos! Opowieści z Gruzji”

Czy „Gaumardżos! Opowieści z Gruzji”, którą napisałeś wspólnie z żoną Anią, jest książką podróżniczą?

Dostaliśmy za nią Nagrodę Magellana w kategorii książek podróżniczych, z czego powinno wynikać, że tak. Jednak zdziwiło nas to bardzo, gdyż uważaliśmy, że nie napisaliśmy książki podróżniczej. Tak naprawdę „Gaumardżos! Opowieści z Gruzji” są mieszanką literatury podróżniczej, reporterskiej, przygodowej i autobiograficznej. Nawet wahaliśmy się, czy tak można, jednak przeczytaliśmy jedną angielską książkę o Gruzji, w której autorka mieszała wszystko ze wszystkim. Stwierdziliśmy, że jeżeli ona tak może, to my też tak zrobimy. Generalnie książka uważana jest za podróżniczą, jednak czytelnicy sięgający po nią szybko stwierdzają, że nie jest tak do końca.

Przygotowując się do tej rozmowy, spotkałem się z opinią, że jest to książka pijacka...

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem taki zarzut, zdziwiłem się trochę. Zastanawialiśmy się nawet z Anią nad usunięciem niektórych jej fragmentów, ale stwierdziliśmy, że nie będziemy manipulować w tekście. Następnie zacząłem tłumaczyć, że jeżeli jest ona pijacka, to po gruzińsku, czyli na wesoło. Na pewno nie na smutno, jak to w przypadku polskich książek pijackich bywa. Potem stwierdziłem, że nie ma co się tłumaczyć. W książce przelewa się bardzo dużo wina, jest tam też dużo ucztowania, ale taka jest Gruzja. Gdybym jeszcze raz ją pisał, pewne rzeczy być może pozostawiłbym z boku, ale nie ma tam nic przesadzonego. Po prostu taki jest duch Gruzji.

Wyjaśnijmy, co oznacza gruzińskie słowo „gaumardżos”? Jak mamy rozumieć tytuł książki?

Po gruzińsku tytuł oznacza dosłownie „życzę ci zwycięstwa”, a pełni funkcję naszego „na zdrowie”. Początkowo książkę chcieliśmy zatytułować „Toast za przodków”, tylko pół roku przed jej ukazaniem się Wojciech Górecki wydał swoją książkę właśnie pod tym tytułem. Przez chwilę mieliśmy pomysł, by zatytułować ją „Szaszłyk”, właśnie ze względu na to, że znajdują się w niej różne historie. A szaszłyk z natury jest różnorodny. Przestraszyliśmy się jednak, że wylądujemy w dziale książek kucharskich i dlatego ostatecznie stanęło na „Gaumardżos! Opowieści z Gruzji”.

Kiedy i jak to się stało, że pojechałeś pierwszy raz do Gruzji?

Był to zupełny przypadek. W 1992 roku jako reporter tygodnika „Polityka” zostałem wysłany do Armenii, gdzie toczyła się wojna ormiańsko-gruzińska. Na tym wyjeździe zaoszczędziłem na tzw. delegacjach, dzięki czemu pojechałem do sąsiedniej Gruzji. Głównym powodem była chęć napisania reportażu o tym kraju. Będąc tam zachłysnąłem się gruzińskością. Pomyślałem sobie, że teraz toczy się tam wojna, ale cudownie byłoby wrócić do Gruzji w czas pokoju. Od tamtego momentu jeżdżę tam regularnie.

Napisałeś w książce, że Gruzja jest kobietą i są na to dowody. Jakie?

Ten fragment książki pisała Ania, i to ją należałoby spytać. Jeden z wątków mówi o tym, że Gruzja jest krajem na pozór męskim, takim „macho”, jednak w rzeczywistości domami rządzą kobiety. W Nowym Jorku stoi Statua Wolności, a nad Tbilisi Matka Gruzja. W jednej dłoni trzyma miseczkę z winem dla przyjaciół, a w drugiej miecz dla wrogów. Jednocześnie jest to bardziej skomplikowane, gdyż działaczki ruchów kobiecych uważają, że są one tam dyskryminowane.

Powiedziałeś też, że Gruzja jest muzyką...

Muzyka w Gruzji jest wszędzie. To jest niesamowite, że Gruzini bardzo często śpiewają, grają i tańczą. Przy tym są niezwykle muzykalni. Muzyka jest dla nich niezwykle istotna, a dyskusje – na przykład wokół narodowego baletu gruzińskiego – wywołują tak wielkie emocje, że zatrącają nawet czasami o politykę. Śpiewają w zupełnie inny sposób niż w Europie. Kształcą się muzycznie od dzieciństwa, w związku z czym każdy śpiewa na wysokim poziomie. Brzmi to naprawdę bardzo dobrze i pod tym względem Gruzja jest ewenementem.

Co oznacza gruzińskie sformułowanie „robić stół”?

Supra, czyli obrus i stół oznacza po prostu biesiadowanie. Najbardziej wyjątkowa polska wigilia czy nawet wesele są skromne w porównaniu z gruzińskim rozmachem. Jest to element ich kultury. Rano czy w dzień mogą jeść niewiele, ale jak przychodzi późniejsze popołudnie czy wieczór, to wtedy zasiadają do stołu. Trwa to długo i wiąże się z niekończącymi toastami. Podobnie dzieje się, jak spotykają się z jakiejś okazji – urodzin, chrztu, wesela, stypy – wtedy biesiadują bardzo długo i intensywnie. Gruzkański stół jest miejscem integracji społecznej.

Zgodzisz się ze mną, że kuchnia gruzińska to prawdziwy raj dla żarłoków.

Na pewno jest bardzo bogata. Zawiera różne wpływy, m.in. rosyjskie, tureckie,

perskie czy irańskie. Ma też wiele własnych oryginalnych potraw. W rejonach górskich dominują różnego rodzaju mięsa. Ale przy tym można w Gruzji cieszyć się życiem, nie jedząc mięsa. Kraj ten jest też rajem dla wegetarian i wegan. Cała kultura przystawkowa prezentuje same roślinne potrawy, co niekiedy jest wielkim zaskoczeniem dla przyjezdnych.

Ostrzeżenie, jakie wynika z lektury książki, to nie dać się wkręcić w rozmowę z turlucami...

Jest trochę inaczej. Może się zdarzyć, że rozmówca zaprosi nas do domu, co może potrwać kilka godzin. Nie ma w tym nic złego, jest to nawet fascynujące. Jednak jest pewne ryzyko. Zdarzyło mi się to wiele razy, że czasami miałem już stany lękowe. Gdy ktoś namawiał mnie, żebym wpadł do niego, to wiedziałem już, czym to się skończy. Ponadto, podobnie jak w Polsce, z obcymi należy ostrożnie rozmawiać o polityce. Gruzini są równie rozemocjonowani politycznie jak Polacy. Pytanie jest jedno: na kogo się trafi? Jak ktoś nie ma pojęcia o gruzińskiej polityce, to pół biedy, bo nie wie, o co chodzi. Jednak mając swoje gruzińskie sympatie polityczne, muszę cały czas uważać. Wtedy najczęściej udaję, że nie wiem, o co chodzi i staram się wyczuć, jakie poglądy ma mój rozmówca. Jeżeli ma zbliżone do moich, to rozmawiamy otwartym tekstem. W odwrotnym przypadku udaję, że nie wiem o co chodzi.

W książce razem z żoną podzieliłeś się sprawiedliwie. Jej rozdziały są bardziej pogodne, a twoje – dramatyczne. Choćby ten o wojnie. Wyłumacz mi, jak można dobrze czuć się w kraju, w którym przelewa się tyle krwi?

To jest bardzo dziwne, ale można. Kiedy w Gruzji podczas wojny czuło się jej grozę, ale jednocześnie siedziało się z ludźmi i rozmawiało na różne tematy. Miały one temperaturę niepodobną do niczego. Kiedy pierwszy raz tam byłem i doświadczyłem wojny, to ludzie tak bardzo mnie ciekawili i intrygowali, że chciałem tam wrócić, gdy tylko przestaną strzelać. Patrząc na to z innej strony: ile zawiązało się przyjaźni między Polakami a Ukraińcami podczas obecnej wojny! To są takie sytuacje, które wyzwalają ogromny poziom emocji nieporównywalny z niczym innym. W Gruzji doświadczałem też sytuacji surrealistycznych, byłem w przepięknym miejscu: gaj mandarynkowy, widok na Morze Czarne, istny raj – a tutaj słyszeć huk artylerii. To było przedziwne.

Podobno Gruzini kochają Stalina. Dlaczego? Nie przeszkadza im, że zabił miliony ludzi?

W latach 90. XX wieku może tak było, że co drugi taksówkarz miał w samo-

chodzie jego portret. Co śmieszniejsze - w zestawieniu ze św. Jerzym, patronem Gruzji. Obecnie według sondaży tylko 20% Gruzinów darzy go sympatią. A może aż 20%. Generalnie Gruzini nie kochają Stalina, choć nie wygląda to tak jak w Niemczech, gdzie Hitler jest tematem tabu. W Gori, gdzie urodził się Stalin, znajdziemy jego muzeum, plac, aleję. Podobnie w wielu innych miejscach w Gruzji, ale generalnie nie jest tak, że Gruzini go kochają.

Mam takie wrażenie, że Gruzja, którą opisaliście w książce, powoli odchodzi już w przeszłość.

I tak, i nie. Jest taka popularna instagramerka „Martyna z Gruzji”, która w swojej książce napisała, że zazdrości nam Gruzji, którą opisaliśmy. Z drugiej strony pewne rzeczy są niezmiennie. Z wykształcenia jestem historykiem i kiedy jadę do jakiegoś kraju, czytam opowieści powiedzmy z XIX wieku. Już na miejscu odnajduję wiele podobieństw w tym, co się dzieje dzisiaj. Oczywiście Gruzja się zmieniła, ale w „Gaumardzos! Opowieści z Gruzji” jest dużo rzeczy niezmiennych.

Książka ukazała się w 2011 roku. Czy od tamtego czasu przytrafiły się Wam jakieś gruzińskie historie, które moglibyście dodać w kolejnym wydaniu?

Przez to, że książka jest cały czas obecna w księgarniach, trochę z poczucia przyzwyczajenia już dopisałem dwa rozdziały. Pierwszy w 2015, a drugi w 2018 roku. Obecna wersja książki jest z tego ostatniego roku. Teoretycznie mógłbym znowu coś dopisać i może to zrobić. Prawda jest taka, a wiem to z wydawnictwa, że książka cały czas bardzo dobrze się sprzedaje. Bez większej promocji, a co pół roku wykonywany jest jej dodruk. Od premiery „Gaumardzos! Opowieści z Gruzji” wyszło już kilkanaście książek o tym kraju, jednak to nasza nadal się sprzedaje. Jestem zachwycony tym faktem, ale to jest pytanie do kogoś bezstronnego – co jest w tej książce, że ludzie mając nowsze oferty wybierają nas. Wyszło nam coś, czego nie planowaliśmy.

Nie dziwię się temu, gdyż sam przeczytałem ją trzykrotnie. A jej popularność wynika może z tego, że opisaliście w niej swoją Gruzję, bez jakichkolwiek przekłamań. Dziękuję ci za rozmowę.

Ja również dziękuję i zapraszam do Gruzji!

07-02-2023



Fot. archiwum Maks Skrzeczkowskiego

Maks Skrzeczkowski – magister sztuki, podróżnik, fotograf, wykładowca fotografii na Wydziale Politologii UMCS, fotoreporter magazynu „Lajf”, wieloletni koordynator projektu Akademia Odkryć Fotograficznych, twórca projektu Kazimierska Wiosna Fotograficzna, międzynarodowy obserwator wyborów prezydenckich na Ukrainie (2004). Wielokrotnie wyróżniony i nagradzany w konkursach fotograficznych (m.in. Grand Press Photo 2021) oraz za działania w dziedzinie kultury. Zasiadał w jury licznych konkursów fotograficznych. Z niesłabnącą pasją od lat fotograficznie eksploruje ulotną codzienność życia w Kazimierzu Dolnym, czterokrotnie był na wschodzie Ukrainy na terenie objętym działaniami wojennymi. To bez wątpienia postać nietuzinkowa, fotograf ekstremalny, ale co równie ważne kreatywny. Zaskakuje, podejmując szalone i trudne wyzwania. Świat nieustannie go zachwyca i zadziwia. Od 2021 r. dyrektor Kazimierskiego Ośrodka Kultury, Promocji i Turystyki w Kazimierzu Dolnym.

Poczułem pocałunek wojny

Radzyński Ośrodek Kultury i działające przy nim Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik” zaprosili na wystawę fotografii oraz spotkanie z podróżnikiem Maksem Skrzeczkowskim pt. „Pocałunek wojny”. Wydarzenie odbyło się 24 lutego 2023 roku – dokładnie w pierwszą rocznicę agresji Rosji na Ukrainę – w Galerii „Oranżeria”. Wpisało się w cykl „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”.

Maks Skrzeczkowski wyznał na wstępie, że temat Ukrainy jest mu bliski, także emocjonalnie; w ciągu ostatnich 19. lat był tam kilkanaście razy. Pierwszy raz pojechał tam w 2004 roku jako międzynarodowy obserwator wyborów prezydenckich. Przebywał na Majdanie podczas pomarańczowej rewolucji i 10 lat później.

Cztery razy znalazł się w rejonie działań wojennych pod Donieckiem, w Mariupolu był w 2015 roku, w Charkowie – na przełomie kwietnia i maja 2022 roku (między 90. a 100. dniem wojny).

Byłem ukraińskim żołnierzem. Poczułem pocałunek wojny

– Czułem się ukraińskim żołnierzem, choć mam obywatelstwo polskie; nie miałem broni, nie strzelałem, ale byłem ubrany w mundur, przemieszczałem się ze swoim batalionem i doświadczałem wojny, jej niebezpieczeństw, ciągłego zagrożenia utratą życia. Gdy chciał kiedyś pójść na stronę, usłyszał od Ukraińców, żeby był ostrożny, bo miejsce jest zaminiowane i może stracić nogi. Wspomniał też doświadczenie spod Mariupola: żołnierze ostrzegali dziennikarzy, żeby odkryty odcinek przebiegli w oddaleniu, bo rosyjscy snajperzy mogą jednym strzałem zabić dwie osoby. – Było zimno, wiał przenikliwy wiatr, a ja przebiegając tamtędy czułem upał w klatce piersiowej. To była bomba adrenaliny. Doświadczył też czegoś, co nazwał pocałunkiem wojny. – Poczułem na twarzy napór powietrza z fali uderzeniowej. To był pocałunek wojny – mówił. – Wiele razy chciałem uciec do domu, obiecywałem sobie, że nie wrócę, ale wojna ma w sobie coś narkotycznego; gdy ktoś jej doświadczył, ciągnie go potem jak magnes. Paradoksalnie tam się czuje, że się żyje.

Dlaczego tam jeździł? – Siedzi we mnie ciekawość świata, niespokojny duch, który sprawia, że muszę pojechać tam, gdzie dzieje się historia, żeby to uwiecznić – wyjaśniał Maks Skrzeczkowski i dodał: – Uczestnictwo w wydarzeniach jest warunkiem rzetelnego reportera, dokumentalisty.

Chciałem poznać wojnę u źródła, w inny sposób, jak siedząc przed telewizorem i będąc skazanym na medialną papkę informacyjną – przyznał, że widział „wiele rzeczy, o których w telewizji nie mówiono”.

Pokazać prawdziwe oblicze wojny

Zdjęcia żyją, są prezentowane na wystawach, pokazują prawdę o wojnie, wpływają na emocje, może także na decyzje. Informował, że z okazji rocznicy agresji Rosji na Ukrainę w Parlamencie Europejskim została zorganizowana wystawa sztuki współczesnych artystów ukraińskich. Przy tej okazji zaprezentowane zostały fotografie wojenne m.in. Maksa Skrzeczkowskiego. – Może w ten sposób pokażę europosłom prawdziwe oblicze tej wojny i wesprę walczących, jeśli zadecydują o wysłaniu Leopardów na Ukrainę.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Poza tym na Ukrainie ma przyjaciół, niepokoi się o ich los. Z relacji telewizyjnych dowiedział się, że bomba trafiła w znany mu dom. Mieszkał tam były więzień niemieckich obozów koncentracyjnych. – Człowiek, który przeszedł 3 czy 4 niemieckie obozy koncentracyjne, zginął od rosyjskiej bomby.

Obłąd i paranoja. Nie wierzę, że tam byłem, takie to surrealne

– Wojna jest przewrotna i absurdalna, pełna dziwnych zdarzeń. Nie wierzę, że tam byłem, takie to surrealne. Wojna ze swymi okrucieństwami, a obok normalne życie się toczy – mówił Maks Skrzeczkowski. Na Majdanie był kilka dni po krwawych wydarzeniach, widział zastygłą krew na ziemi, na twarzach mężczyzn.

Pod Doniekiem w służbach medycznych są weterynarze, dentyści, którzy muszą oporządzić rozszarpaną nogę. Widział żołnierza, któremu granat urwał rękę, z opatrunkiem stacjonował dalej.

Ludzie się dziwnie zachowują. Jedna sytuacja: ksiądz kosi trawnik, podczas gdy w odległości 500 m trwa ostrzał. Gdy zapytał, po co to robi, usłyszał odpowiedź: – Trzeba się czymś zająć. W innym miejscu widział, jak ktoś maluje zewnętrzne ściany domu z powybijanymi szybami. – Trzeba coś robić, żeby przetrwać, żeby nie stracić wiary, że wojna się skończy – tłumaczył.

Przyznał, że człowiek z czasem się oswaja z niebezpieczeństwem i próbuje żyć normalnie. Opowiadał, że sam w czasie nalotu reperował studzienkę kanalizacyjną. Mówił o księżach, którzy się zachowywali jak komandosi, najwięksi twardziele. W sytuacji zagrożenia nalotem chemicznym usłyszał komunikat, by wkładać maski. – Nikt maski nie miał, byliśmy bezradni. Usłyszałem radę: Trzeba być dobrej myśli. Przebywając z takimi ludźmi, człowiek nabiera odwagi. Takie doświadczenie jest jak szczepionka. Przez to, czego doświadczyłem, pozbyłem się lęku – wyznał podróżnik. Pokazał zdjęcie żołnierza w hełmie z wydrapaną na nim tarczą strzelniczą, „żeby strzelający wiedzieli, gdzie mam środek głowy” – wyjaśniał Ukrainiec.

Gdy zauważył, że siatka maskująca zrobiona jest z nowego, bardzo dobrego materiału, spytał, czy nie żał go rozcinać na strzępy. Usłyszał, że to fragmenty spodni żołnierza, któremu pocisk urwał nogę.

Skala zniszczeń jest nie do uwierzenia

Maks Skrzeczkowski opowiadał o wrażeniach z Charkowa – jednego z miast najdotkliwiej doświadczonych rosyjską agresją. Przed wojną miasto zamieszkiwało 1,5 mln osób. Teraz zamienione zostało w kamienną pustynię. – Skala zniszczeń jest nie do uwierzenia. Miasto przypomina wykonaną z wielkim rozmachem, za miliardy dolarów realistyczną, hollywoodzką dekorację do jakiejś post apokaliptycznej produkcji – wspominał reporter

i dodał, że gdy szli wśród ruin 2 kilometry, spotkali tylko dwóch żołnierzy. – Kto nie musi, nie wychodzi – mówił podróżnik. Wyjście z podziemnych nor może źle się skończyć. Miasto jest pod ciągłym ostrzałem.

Ale zdarzają się niezwykle sytuacje. Reporter pokazywał fotografie kościoła, w którego podziemiach ukrywali się ludzie. Budynek był wielokrotnie ostrzeliwany, zniszczone zostały działki otaczające świątynię, ale sam kościół stał nietknięty.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Podziemne miasto

Miasto jest puste, bo kto mógł, wyjechał. Ci, co pozostali, to ludzie samotni, niezaradni, bojący się zmian, ale też alkoholicy, osoby z problemami psychicznymi. Chronią się w piwnicach, w metrze. Jako osoba zaufana Maks został wpuszczony na stację metra.

Dwa składy wagonów służyły ukrywającym się za mieszkania. Na jednym ze zdjęć widać chłopca stojącego w oknie. Nad nim, na dachu suszą się trzy pary butów. – Ten skład długo nie odjedzie. Wszystko jest na odwrót, nie tak, jak powinno być – komentuje reporter.

Na peronie stoją dwie małe lodówki, w koszykach codzienna dostawa – tym razem krakersy i mydło. Te artykuły wymieniają z osobami koczującymi na kolejnej stacji. Na przykład na parówki. Miesiącami nie wychodzą z ukrycia – dopóki nie muszą. Gdy wychodzą, nakładają okulary, żeby nie oślepnąć.

Taka sytuacja: W metrze urodziło się dziecko. Gdy tam był Maks Skrzeczkowski miało ok. 2 miesiące, ale jeszcze nie widziało światła słonecznego. Nikt go też nie oglądał, bo jest taki przesąd, że obcy nie mogą go widzieć przed chrztem. Widział chłopca, który siedział na peronie przy stoliku, przy komputerze i uczestniczył online w zajęciach szkolnych.

Na zakończenie spotkania Maks Skrzeczkowski wyznał, że jest sceptyczny co do szybkiego zakończenia wojny. Ocenia, że gdy się to już stanie, odbudowa kraju potrwa 30 lat.

Anna Wasak
11-03-2023



Fot. archiwum Artura Owczarskiego

Artur Owczarski podróżuje od ponad dwudziestu lat. Motorowodniak, przedsiębiorca i tata trójki dzieci. Jego ulubione kierunki to Chiny, w których był kilkanaście razy i Stany Zjednoczone. Brał udział w regatach na Karaibach, zwiedzał klasztory buddyjskie w Himalajach i przejechał kilka tysięcy kilometrów szutrowymi drogami w paru afrykańskich krajach. Przemierzył odległe od cywilizacji obszary pustyni Gobi. Szczególnie dużo czasu spędził w Teksasie, na Florydzie i w Kalifornii. Przejechał też słynną Drogę 66 od Chicago do Santa Monica. W wyniku wypraw do USA powstały książki: „Droga 66. Droga Matka. O historii, legendzie, podróży” (2019), „Teksas to stan umysłu” (2020) i „Luizjańskie gumbo” (2022). Teksas jest mu bliski nie tylko ze względu na kulturę, ludzi i czas, który tam spędził ale również ze względu na fakt, że w 2019 roku otrzymał tytuł honorowego mieszkańca miasta Bandery, drugiej najstarszej polskiej osady w USA i jednocześnie miasteczka szczycącego się tytułem światowej stolicy kowbojów.

Radzyniacy wyruszyli w podróż legendarną Drogą 66

Gościem 45. edycji „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” był Artur Owczarski, który zabrał przybyłych w podróż po legendarnej Drodze 66 prowadzącej przez całe Stany Zjednoczone, łączącej wybrzeże wschodnie z zachodnim. Przejechał nią od Chicago do Santa Monica. Owocem tej podróży stała się książka: „Droga 66. Droga Matka. O historii, legendzie, podróży”. Spotkanie odbyło się 27 marca 2023 roku w Radzyńskim Ośrodku Kultury.

– Podróż Drogą 66 pozwala poczuć ducha Ameryki zanurzyć się w atmosferę tego kraju – zaznaczył na wstępie podróżnik, który w swej książce poświęconej tej trasie napisał: „To ściganie horyzontu, odkrywanie sennych amerykańskich miasteczek i przemierzanie bezkresnych przestrzeni południowego zachodu... Route 66 to oblicze prowincjonalnej Ameryki, bez przepychu, luksusowych rezydencji i jachtów, pełne osobliwości i charakterystycznego uroku, który sprawia wrażenie, że cofamy się w czasie”.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Sama historia tego najsłynniejszego szlaku komunikacyjnego Ameryki jest niezwykle ciekawa. W 1921 roku w USA wydany został akt prawny, otwierający możliwość utwardzenia drogi. Wcześniej na 4 mln km dróg

utwardzenie posiadało 1,29%. Tymczasem w latach 20. liczba samochodów wzrosła ze 180 tys. do 17 mln. Droga 66 otwarta została w 1926 roku, ma długość ok. 2,5 tys. km, łączy Chicago z Los Angeles, a od 1936 roku przedłużona została do Santa Monica. Przebiegała przez osiem stanów: Illinois, Missouri, Kansas, Oklahomę, Teksas, Nowy Meksyk, Arizone i Kalifornię, by zakończyć swój bieg w Los Angeles. Całość trasy uzyskała utwardzoną nawierzchnię w 1938 roku.



Fot. Tomasz Młynarczyk

- Jej budowa było to ważne przedsięwzięcie gospodarcze, gdyż połączyła wiele małych miejscowości, którym zapewniła rozwój – podkreślił Artur Owczarski. Powstawały tam motele, restauracje, warsztaty samochodowe – prężnie rozwijała się gospodarka, usługi oraz handel. Największą świetność przeżywała w okresie wielkiego kryzysu lat 30. XX wieku. Stała się wówczas główną magistralą, którą setki tysięcy mieszkańców Oklaho-

my przemieściło się do Kalifornii i z powrotem, szczególnie w czasie suszy i słynnych burz pyłowych, gdy w latach 30., podczas długotrwałej suszy, gwałtowne wiatry wywiewały górną warstwę ziem uprawnych, zostawiając nieurodzajną pustynię. W latach 40. droga ta służyła do przemieszczania wojsk – ludzi i sprzętu – na wojnę. W okresie boomu gospodarczego drogą udawały się rodziny na wakacyjne wyprawy turystyczne. Tędy do Kalifornii charakterystycznymi busikami podążały dzieci-kwiaty, a na przełomie lat 60. i 70. tu zrodziło się zjawisko autostopu.

Przy okazji przy Drodze 66 powstawały pewne zjawiska charakterystyczne dla Ameryki: jedzenie przy drodze bez wysiadania z auta, współczesny przemysł reklamowy.

Droga 66 w mediach i sztuce

Droga stała się obecna w mediach i różnych dziedzinach sztuki. Wielkiemu kryzysowi spowodowanemu wspomnianą suszą poświęcona jest książka Johna Steinbecka „Grona gniewu”, która została również sfilmowana. Aby trasę zareklamować urządzono wielki bieg transmitowany przez telewizję. W 1946 roku Bobby Troup po swojej podróży tą trasą napisał piosenkę „Get Your Kicks on Route 66” (swoje wersje tego standardu nagrały m.in. The Rolling Stones i Depeche Mode). Na Drodze 66 rozgrywa się akcja serialu animowanego „Auta”. Realizatorzy kilka lat podróżowali i dokumentowali Drogę 66, stąd miejscowości w filmie wzorowane na rzeczywistych. Inne filmy „działające się” na Drodze 66 to: „Autostopowicz”, „Urodzeni mordercy”, „Thelma i Louise”, „Easy Rider”, „Bagdad Cafe”, „Little Miss Sunshine”, wreszcie „Route 66” – amerykański serial, o przygodach dwóch łowców przygód.

Autostrady – gwoździem do trumny Drogi 66

Istnienie Drogi 66 zostało zagrożone powstaniem w latach 50. międzystanowej sieci autostrad, które stały się dla niej gwoździem do trumny. W 1985 roku została oficjalnie skreślona z listy autostrad krajowych. Obecnie biegnie także przez prywatne posiadłości, niektóre jej odcinki są zabudowane, inne biegną drogą polną, trzeba jej szukać w Google. Miejscowości przydrożne wymierały, gdy straciły dochody, opustoszały motele, restauracje.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Jednak droga pozostała w sercach ludzi. Ci, którzy obecnie z niej korzystają, jadą dla przygody, poczucia atmosfery, ducha Ameryki.

Królestwo kiczu

– Obecnie aby ściągnąć turystów i uatrakcyjnić jazdę Drogą 66, wymyślane są absurdalne i kiczowate wabiki, niespodzianki, które mają być i są magnesem dla turystów – mówił Artur Owczarski. Na przykład, po świeżo położonej powierzchni drogi przespacerowały się indyki, zostawiając swoje ślady. Pomalowano je, oznaczono miejsce, stało się ono wielką atrakcją dla podróżnych. Inne atrakcje to wielkie, widoczne z daleka reklamy, wśród nich np. ogromny fotel bujany czy monstrualna butelka koło restauracji, pokazujących wymiarów figury piosenkarzy.

W jednej z przydrożnych restauracji w Teksasie podają wielki stek ważący 72 funty. Ciekawostka polega na tym, że gdy ktoś go zje w ciągu godziny, posiłek dostaje za darmo. Choć Artur Owczarski przyznał, że zdołał wymęczyć jedynie 1/3 porcji, to restauracja zanotowała ok. 1000 osób, które podołały zadaniu.

Gdy ktoś słynny spał w motelu – jest pokój czy pokoje poświęcone tym postaciom. Na „ranczu cadillaców” wkopano do połowy pionowo w ziemię kilka takich starych samochodów, ludzie malują na nich, co chcą.

Niektórzy specjalnie się tutaj osiedlają i budują skanseny, np. przy starych stacjach benzynowych. Gromadzą starocie (wraki aut, maszyny do szycia itp.), by przyciągnąć klientów, żeby kupili colę. W ten sposób trasa stała się żywym muzeum Ameryki. Dzięki starym stacjom, restauracjom, miasteczkom i motelom na Drodze 66 można poczuć się jak w Ameryce lat 50. i 60.

Narodowa Droga Krajobrazowa

Ale nie tylko dla wspomnień i odczucia atmosfery minionych lat warto przejechać Drogę 66. Jej odcinki przebiegające przez stany Illinois, Nowy Meksyk i Arizona w 2005 roku zostały uznane za narodową drogę krajobrazową o nazwie „Historic Route 66” (ponad 2,2 tys. km), która stanowi popularną atrakcję turystyczną.

Podróżnik opowiadał o walorach historycznych i krajobrazowych drogi. Wspomniał między innymi o Parku Narodowym Skamieniałego Lasu i majestatycznym Wielkim Kanionie Kolorado w Arizonie. Niesamowite krajobrazy, konstrukcje skalne to gotowa sceneria westernów czy filmów o transformersach.

Na zakończenie spotkania Artur Owczarski otrzymał pamiątkowy medal „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” oraz karykaturę przygotowaną przez Tomasza Ciupaka.

Anna Wasak
2023-04-19

Route 66 jest prowincjonalną częścią Ameryki

Wywiad Roberta Mazurka z podróżnikiem Arturem Owczarskim

Jaki początek miała Twoja fascynacja podróżowaniem?

Gdy byłem nastolatkiem, pamiętam, jak cała Polska czekała na to, by móc swobodnie podróżować. Stało się to możliwe po 1989 roku, kiedy upadła żelazna kurtyna. Rodzice zabrali mnie na wycieczki autokarowe – najpierw do Paryża, a potem do Włoch. Bardzo się cieszyłem, że mogę wreszcie wyjechać poza granice kraju. Znałem już Bałtyk i polskie góry, ale nie wiedziałem i byłem bardzo ciekawy, co jest tam dalej.

Do Radzyna przyjechałeś z opowieściami o Route 66, w jakim celu i kiedy ją zbudowano?

Zbudowano ją, żeby połączyć Chicago z Zachodnim Wybrzeżem. Jak powiedział jej pomysłodawca – Cyrus Stevens Avery – powstała jako główna autostrada Ameryki. Podróżowały po niej miliony podróżnych i przez dziesięciolecia z powodzeniem spełniała swoją funkcję.

Czy po przejechaniu Route 66 można powiedzieć, że poczuło się ducha Ameryki?

Zdecydowanie tak, jednak w moim przypadku miało to miejsce dużo wcześniej. Zanim przejechałem całą Route 66 spędziłem mnóstwo czasu na Florydzie. Tam właśnie zakochałem się w Stanach Zjednoczonych. Floryda turystyczna jest pełna luksusu, natomiast Route 66 jest prowincjonalną częścią Ameryki. Często kojarzymy ją z miasteczkami duchów. Jest zupełnie inna niż ta w dużych miastach, ale równie ciekawa i jest mi bliższa.

Klimat Route 66 tworzą przede wszystkim ludzie...

Wielu ich nie spotkałem. W przypadku moich dwóch poprzednich książek mówiących o Luizjanie i Teksasie to właśnie mieszkańcy tych stanów byli głównymi bohaterami, a tutaj skupiłem się na drodze. Chciałem przede wszystkim pokazać, dlaczego jest ona słynna – zna ją przecież każdy w Polsce – opowiedzieć, jak powstała jej legenda i dlaczego była tak ważna dla wielu pokoleń Amerykanów.

Znajdziemy tam też mnóstwo odniesień do kiczu popkultury...

Na tym właśnie polega podróż Route 66 – odkrywaniu tych kiczowatych pomysłów, reklam czy miejsc. Jest tam też mnóstwo atrakcji turystycznych,

czasami wręcz kuriozalnych. Na przykład największy na świecie bujany fotel, gigantyczna butelka reklamująca sklep z napojami czy miejsce, w którym indyki zostawiły ślady łapek.

To pokażemy Ci o stworzenie rankingu trzech najbardziej absurdalnych atrakcji na Route 66...

Na pewno wspomniane przeze mnie indyki. Miejsce to jest obmalowane białą farbą i przyciąga mnóstwo turystów. W czołówce powinien znaleźć się też ogromny, stojący przy sklepie królik, do którego prowadzą schody tylko po to, by można było zrobić sobie z nim zdjęcie. Spotkamy też miejsca, które może nie są kuriozalne, ale są sztuką. Chociażby rzeźby ze szkła i butelek czy wkopane do połowy samochodu, które można malować sprayem. To wszystko stanowi o klimacie Route 66.

Na prośbę wielu osób, szczególnie najmłodszych, muszę zapytać Cię o kreślowkę „Auta” z Pixar Animations Studios. Ile w bajce jest fikcji, a ile rzeczywistości w kontekście Route 66?

W bajce odnajdziemy bardzo dużo prawdziwych elementów. Tak naprawdę jej twórcy przez wiele lat podróżowali po Route 66 tylko po to, by zbierać pomysły na scenografię. Niektóre ukazane budynki istnieją w rzeczywistości, postacie ukrywające się pod samochodami, to żyjący tam ludzie. Prowadzą tam stacje benzynowe, restauracje czy motele. W bajce odwzorowany został też klimat Route 66. Odnajdziemy Chłodnicę Górską, która w rzeczywistości jest miasteczkiem obumierającym, bo zostało ominięte przez autostradę. Taki los spotkał wiele miejscowości na Route 66. Bajka „Auta” zdecydowanie jest o tej drodze.

Druga połowa lat 70. i początek 80. XX wieku to faktyczny koniec Route 66. Co za nią stało?

Przede wszystkim wybudowanie autostrad. Prezydent Dwight David Eisenhower podpisał akt ich budowy, na mocy którego w ciągu kilkunastu lat Route 66 zastąpiły autostrady. Przestała być główną drogą Ameryki i w 1984 roku zniknęła z mapy. Dzisiaj nie istnieje jako oficjalna droga, jest też niekompletna i nie da się nią przejechać, nie zbaczając z trasy. Istnieje tylko jako sentymentalny element życia wielu Amerykanów, którzy w młodości podróżowali po niej oraz jako część kultury tego kraju. Zarówno historia wielkiego kryzysu, II wojny światowej, boomu gospodarczego lat 50. XX wieku czy hipisów związana jest z Route 66.

A czym było dla Ciebie przejechanie Route 66?

Mógłbym powiedzieć, że łapałem wiatr we włosy, ale bym skłamał (śmiej). Kocham podróżować i to była dla mnie wielka przygoda. Nie jestem w stanie wypoczywać w hotelu, 2 dni w jednym miejscu doprowadzają mnie już do szału. Sama koncepcja podróży i nieustającego zmieniania miejsca była dla mnie najbardziej zachęcająca. Podobało mi się to, że gdy zajeżdżaliśmy codziennie wieczorem na nocleg, słońce świeciło nam prosto w oczy. Dzięki temu wiedzieliśmy, że poruszamy się na zachód, czyli we właściwym kierunku.

Podróżując do USA szczególnie upatrzyłeś sobie Teksas. Napisałeś też o nim książkę, określając go jako „stan umysłu”. Dlaczego?

Hasło to wymyślił John Steinbeck, a ja wpadłem na nie zupełnie nieświadomy jego istnienia. Dotyczy ono głównie prowincjonalnego Teksasu, który jest pełen uroku i gościnności. Doświadczymy tam też nostalgii za minionymi czasami starego Zachodu. Uwielbiam Teksasńczyków za ich przekonanie o wyjątkowości, które zakrawa wręcz o arogancję. Na początku może to nas denerwować, ale gdy pozna się ich lepiej, jest to naprawdę urocze.

Nagrywając film z zaproszeniem na spotkanie w Radzyniu, w tle miałeś festiwal grzechotników odbywający się w Sweetwater. Możesz o nim trochę opowiedzieć?

Festiwal organizowany jest od 1958 roku. Zaczęło się od tego, że podczas suszy węże w poszukiwaniu gryzoni pojawiły się w miastach. Było ich tak dużo, że ludzie zaczęli na nie polować. Zgromadzili je na środku miejscowości celem ich unicestwienia. Powtórzyli to w latach następnych, po czym zorientowali się, że przyciąga to wielu turystów. Postanowili wydarzenie zamienić w imprezę charytatywną. Obecnie wszyscy pracujący przy tym festiwalu są wolontariuszami, a pieniądze ze sprzedaży biletów trafiają do potrzebujących, służą społeczności lokalnej. Szacuje się, że z jednej edycji imprezy wpływ do gospodarki wynosi ok. 8-10 milionów dolarów. W ten sposób znaleźli sposób na zmonetyzowanie zabijania węży, co nie wszystkim się podoba. Te węże momentami są bardzo biedne, leżą wymęczone w przygotowanych stanowiskach i niekiedy są stratowane. Każdemu festiwalowi towarzyszą protesty przeciwko takim praktykom. Jednak liczba ludzi biorących co roku udział w tej imprezie – około 30 tys. – pokazuje, że chcą to oglądać bez względu na wszystko.

Pozostając jeszcze w Teksasie: proszę, powiedz, co należy zrobić, by zostać honorowym obywatelem Bandery – najstarszej polskiej osady w USA, określanej mianem światowej stolicy kowbojów?

Chyba trzeba mieć w sercu kowboja. Tak naprawdę to pytanie należałoby zadać osobom, które przyznały mi ten tytuł. Osobiście uważam to miejsce za swój dom i jest mi bardzo bliskie. Odpowiada mi ich westernowo-kowbojski klimat. Mam tam też wielu znajomych i przyjaciół, do których bardzo chętnie i często wracam.

Obok książek o Route 66 i Teksasie na swoim koncie masz publikację pt. „Luizjańskie gumbo”. Gumbo to oficjalne danie Luizjany, ale jak wspominasz w książce, nie dlatego znalazło się w tytule. W takim razie – dlaczego?

Luizjana to niesamowity miks kulturowy. Znajomy powiedział mi kiedyś, że jak porównamy Nowy York i Nowy Orlean w Luizjanie do puszek z warzywami, to w przypadku tego pierwszego mielibyśmy każdy składnik oddzielnie. Warzywa przedstawiające puszkę Nowego Orleanu są wymieszane ze sobą. Trudno je od siebie odróżnić czego doświadczyłem osobiście. Znam m.in. muzyka jazzowego, bardzo utytułowanego, mającego na swoim koncie kilka nagród Grammy, którego zdjęcie rodzinne wygląda jak prawdziwy miszmasz. Jego mama jest bardzo kreolska, stojący obok brat ma ciemny kolor skóry z bardzo wysoko położonym torsem, co podobno oznacza krew indiańską, a ciotka ma za to rysy hinduskie. Taka jest właśnie Luizjana – mocno wymieszana jak zupa gumbo, w której występują składniki z Europy, Afryki i kontynentu amerykańskiego.

Mówi się, że „sportem narodowym” Polaków jest grillowanie, do którego przygrywa disco-polo. Czy w podobny sposób „sportem narodowym” mieszkańców Luizjany jest spędzenie czasu na bagnach i polowanie na aligatory?

Na pewne nie w obecnych czasach, choć bagna w USA są najbardziej bogatym środowiskiem naturalnym, jakie widziałem w swoim życiu. Po wypłynięciu łódką na wodę i rozejrzeniu się, od razu zobaczymy „latające jedzenie” – coś pływającego lub pełzającego. W latach 70. XX wieku aligatorom groziło wyginięcie, a w tej chwili jest ich bardzo dużo – ok. 2,5 miliona. Dawniej polowania na aligatory opłacały się, ale nie dzisiaj. Więcej warte są haczyki i naboje niż złowiony zwierz. Wynika to też z tego, że powstało dużo farm, gdzie są hodowane. Co ciekawe, w Stanach Zjednoczonych można łatwo zjeść mięso aligatora. Nawet w Teksasie, w Sweetwater, o którym już rozmawialiśmy, można spotkać budki z jedzeniem, gdzie obok kurczaka i raków można zamówić kawałek aligatora w panierce.

Na koniec wróć do Twoich książek, po co w ogóle je piszesz? Bo ja Ci powiem, dlaczego organizuję „Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami”. Robię to, żeby spotykać takich ludzi jak Ty...

Kocham wiedzę, a przede wszystkim jej zdobywanie. Świat jest tak bogaty kulturowo, że podróżując w jego różne części, człowiek odkrywa rzeczy, które nie są dla niego oczywiste. Wtedy czuję się zdecydowanie bogatszy. W książce „Luizjańskie gumbo” napisałem, że każda podróż zmienia moją tożsamość. Niesamowite dla mnie jest to, że siedzę sobie po drugiej stronie świata i rozmawiam z ludźmi opowiadającymi mi o swoim życiu i codziennych sprawach. Nie piszę o polityce, nie piszę też książek z lotu ptaka, tylko o tym, jaką tam jedzą zupę na obiad. Poznaję ich życie od podszewki, takie normalne i przede wszystkim prawdziwe. Bardzo mnie to ubogaca, szczególnie doświadczam tego, gdy wracam do domu i zupełnie inaczej zaczynam postrzegać siebie i otaczający mnie świat. Gdy tylko ukończę kolejną książkę, to marzy mi się, żeby znowu usiąść i zrobić wielomiesięczny research, wytypować destynacje, miejsca, ludzi i pojechać do nich. Wiem, że jak już tam będę, to znowu ktoś zaprosi mnie do swojego domu, poznam przypadkowe osoby, które z kolei przedstawią mi swoich znajomych. W ten sposób poznam ich historie, które będą mnie zdumiewać przez najbliższe lata. A potem, tak jak na dzisiejszym spotkaniu w Radzynie, przyjdzie m.in. kilkanaścioro dzieciaków i może chociaż w jednym z nich zapalę jakąś pasję. Niekoniecznie pasję podróży, ale uważam, że jest ona w życiu bardzo istotna. Dlatego właśnie podróżuję i piszę książki.

I tę pasję widać w twoich książkach. Czekam na kolejne wydawnictwa i dziękuję za spotkanie w Radzynie Podlaskim...

Dziękuję.

27-03-2023

Wystawa karykatur podróżników w Warszawie

Wystawa „Znany podróżnicy, turyści i alpiniści w karykaturze” autorstwa Przemysława Krupskiego, która powstała w ramach „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”, została otwarta 30 marca w Galerii Zarządu Głównego PTTK w Warszawie, mieszczącej się w pięknym wnętrzu Pałacu Małachowskich.

Przybyłych powitali Maria Janowicz – kierownik Centralnej Biblioteki PTTK oraz Jacek Treichel Sekretarz Generalny Zarządu Głównego PTTK, który podkreślił, że radzyńska wystawa to dobry przyczynek, by wznowić cykl imprez przerwane przez pandemię.

Na wernisażu byli obecni m.in. członkowie Stołecznego Klubu Tatrzańskiego z przewodniczącym Andrzejem Piątkiem i wiceprzewodniczącą Elżbietą Jaworską, Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury z prezesem Tomaszem Niewiadomskim. W delegacji z Radzyna byli: prezes Oddziału PTTK w Radzynie Bogdan Fijałek i Robert Mazurek – dyrektor Radzyńskiego Ośrodka Kultury i prezes Radzyńskiego Stowarzyszenia „Podróżnik”.

Robert Mazurek podkreślił, że miejsce wystawy jest mu bliskie. Przyznał, że „wyrósł z PTTK” – od 30 lat jest aktywnym członkiem Towarzystwa. Jako nauczyciel był przewodniczącym Rady Programowej do spraw Młodzieży przy Zarządzie Głównym PTTK, wraz z uczniami brał też udział w konkursach krasomówczych, „Poznajemy Ojcowiznę” czy turniejach krajoznawczych.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Opowiedział o historii powstania prezentowanej wystawy karykatur. Gdy na 30. urodziny dostał od żony książkę podróżniczą, natychmiast połąkł bakcyła i namówił Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych oraz radzyński Oddział PTTK do współpracy w organizowaniu „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”. Od 2012 roku inicjatywa się bardzo rozrosła. W Radzynie gościli najwięksi podróżnicy, alpinisci, ciekawi turyści, autorzy książek podróżniczych. W podziękowaniu i na pamiątkę spotkania każdy otrzymywał swoją karykaturę autorstwa Przemysława Krupskiego. Barwne, pełne ciepłego, życzliwego humoru, budziły zachwyt gości. W ciągu 10 lat zebrało się ich 40. Prezentują znanych podróżników i alpinistów, ale także osoby znane jako dziennikarze, celebryci, których pasja podróżnicza jest mniej znana (jak Marek Niedźwiedzki – fan Australii czy Artur Orzech – iranista). – Za każdym obrazkiem kryje się ciekawe spotkanie oraz związane z nimi niesamowite historie, które mogą złożyć się na ciekawą książkę – dodał Robert Mazurek.

Karykatury były prezentowane w Radzynie z okazji 10-lecia „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”, a w październiku 2022 roku – na zaproszenie Elżbiety Dzikowskiej – w Muzeum Podróżników im. Tony’ego Halika w Toruniu. Przez 2 miesiące wystawę odwiedziło ok. 10 tysięcy osób. – Wierzę, że wiele osób związanych z podróżami i turystyką obejrzy również warszawską wystawę – zakończył wypowiedź Robert Mazurek i w podziękowaniu za umożliwienie prezentowania wystawy tradycyjny upominek – pamiątkowy medal „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” przekazał dla Zarządu Głównego PTTK oraz dla Centralnej Biblioteki PTTK wraz z książkami zawierającymi swe wywiady z goszczonymi w Radzynie podróżnikami.

Prezes Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury Tomasz Niewiadomski wysoko ocenił karykatury autorstwa Przemysława Krupskiego. – Są świetnie, bardzo starannie wykonane, dopracowane, oddają podobieństwo, nie ma w nich złośliwości. Świetny pomysł, by w ten sposób obdarowywać podróżników – ocenił T. Niewiadomski i przyznał się, że szczególnie przypadła mu do gustu grafika Wojciecha Cejrowskiego. O większości podróżników dowiedział się z opisów zamieszczanych pod karykaturami.

Anna Wasak
31-03-2023



Fot. archiwum Witolda Szablowskiego

Witold Szablowski urodził się 27 czerwca 1980 roku w Ostrowi Mazowieckiej. Jeden z najwybitniejszych polskich twórców literatury faktu. Pisał m.in. o Turcji, o PRL-u, o kucharzach dyktatorów, o Czarnobylu, Wołyniu i o dziadku Władimira Putina. Jego książki ukazują się na czterech kontynentach, w ponad trzydziestu krajach. Amerykański *The New York Times* nazwał jego twórczość perłą, a prawa do książki o kucharzach kupiło Hollywood. Autor książek, m.in.: „Zabójca z miasta moreli. Reportaże z Turcji” (2014), „Sprawiedliwi zdrajcy. Sąsiedzi z Wołynia” (2016), „Rosja od kuchni. Jak zbudować imperium nożem, chochlą i widelcem” (2021) i „Opowieści z Wołynia” (2023). Od początku wojny w Ukrainie jest bardzo zaangażowany w pomoc. Codziennie relacjonuje też postępy ukraińskiej armii na blogu *Notatnik Reportera* i w newsletterze: www.witoldszablowski.pl

Opowieści z Wołynia

W przeddzień 80. rocznicy rzezi wołyńskiej na kolejnej edycji „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” gościł Witold Szablowski – autor „Opowieści z Wołynia”. Wydarzenie odbyło się w Miejskiej Bibliotece Publicznej, poprowadził je Robert Mazurek.

Książka jest reportażem na temat wydarzeń z 1943 roku – oryginalnym i potrzebnym, bo ukazującym okrucieństwo rzezi wołyńskiej z perspektywy Ukraińców, którzy w tych nieludzkich wydarzeniach okazali się bohaterami, ratując Polaków z narażeniem własnego życia. Publikacja ukazuje grozę wojny – całe jej okrucieństwo i bestialstwo morderców, ale punkt wyjścia – to dobrzy ludzie, którzy nie stracili człowieczeństwa w tych warunkach. Jak przyznał na wstępie autor, z tematem Ukraińców, którzy w czasie rzezi wołyńskiej, ryzykując własne życie pomagali Polakom, zetknął się, czytając m.in. opublikowaną przez IPN Kresową Księgę Sprawiedliwych. Zawarte tam informacje były dosyć zdawkowe. Zaintrygowany nimi chciał to opisać szerzej, chciał zrozumieć ich motywacje a także, co się stało z tymi ludźmi. Osiem lat jeździł na Wołyń, szukając Ukraińców, którzy pomagali Polakom, poznawał ich losy.

Przytoczył przykłady takich dramatycznych, wstrząsających historii. Syn mieszanego małżeństwa (matka Polka, ojciec Ukrainiec) wstąpił do UPA, od banderowców dostał rozkaz zabicia matki. Ojciec się o tym dowiedział, zdołał uciec z żoną do Polski. W wiosce Połapy połowa mieszkańców wstąpiła do UPA, połowa broniła Polaków, ryzykując, że stracą życie z rąk sąsiadów i pobratymców. I jeszcze inny przykład: Ojciec miał dwóch braci banderowców, którzy namawiali go i zastraszali, by jeździł z nimi na „akcje”. Cały rok 1943 rok udawał pijanego, kazał żonie rozpowiadać po wsi, że jest pijakiem i łajdakiem.

Szura z okładki twarzą pojednania polsko-ukraińskiego

Na okładce „Opowieści z Wołynia” widnieje zdjęcie Szury. To niezwykła Ukrainka z Wołynia – Ołeksandra Wasiejko z Sokoła. Jako pierwsza otrzymała z rąk Prezydenta Andrzeja Dudy medal Virtus et Fraternitas – przyznawany od 4 lat Ukraińcom, którzy ratowali Polaków. W 1943 roku jej ojciec był zmuszany przez banderowców do przyłączenia się do ataku na Ostrówki Wołyńskie i Wołę Ostrowiecką, ale im odmówił. Tłumaczył, że nie ma jednego oka, na drugie słabo widzi, więc może omył-

kowo strzelać do swoich. Kiedy banderowcy zaatakowali, pomagał Polakom: własną furmanką, kogo mógł, woził w kierunku Bugu. Za rzeką byli już bezpieczni. Tych, którym nie udało się pomóc, chował w tajemnicy. Miejsca pochówku pokazał córce – Ołeksandrze, gdy ta miała 7 lat. Rodzice mówili jej, że Polacy to byli dobrzy ludzie, przyjaciele, dobrze się z nimi mieszało. Na Wołyniu jest zwyczaj, że nosi się zmarłym jedzenie na groby. Gdy ojciec jej przywoził cukierki, dziewczynka nosiła je na groby Polaków, bo wiedziała, że tam są pochowane dzieci.

Jednym z miejsc, którym opiekowała się Pani Szura, było tzw. Trupie Pole. Po przeprowadzonej ekshumacji okazało się, że na 230 pochowanych tam ofiar rzezi – 150 to były dzieci. – Może kolejne ekshumacje wstrzymano ze względu na to, co tam znaleziono, bo okazało się, że polskie opowieści o Wołyniu są prawdą, choć wcześniej niedowierzano, że to mogła być tak okrutna rzeź. I nagle się okazało, że wystarczy otworzyć pierwszą mogiłę, by poznać prawdę – odnaleźć w niej kobiety i dzieci – podsumował opowieść Witold Szablowski.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Wokół wioski, w której mieszka Pani Szura, znajduje się siedem zbiorowych mogił. Jest ona jedyną osobą, która dba o te groby, o pamięć,

o prawdę i dusze zamordowanych. Robi to od 70 lat. Wbrew sąsiadom, którzy zarzucają jej mówienie nieprawdy o rzezi na Polakach. Ona wie lepiej, co roku uczestniczy w obchodach wspólnie z Polakami. Próbowала do modlitwy namówić księdza prawosławnego, ale ten się nie zgodził, więc przestała chodzić do cerkwi. Chodzi do polskiego kościoła, zegarek ma ustawiony na polski czas, wita się po polsku. Gdy na jej „dzień dobry” Ukraińcy odpowiadają po ukraińsku, mówi: „Uczcie się polskiego, jeszcze się wam przyda”.



Fot. Tomasz Młynarczyk

„Od 70 lat modlę się codziennie, żeby między Polską a Ukrainą był zawsze pokój. Wiem, co spotkało Polaków na Wołyniu, dlatego codziennie rozmawiam z duszami zabitych i codziennie ich o to proszę. Módlcie się ze mną o pokój, żeby nic nigdy już nas nie podzieliło. Tata mi mówił, że Polacy i Ukraińcy to siostry i bracia, nie wolno nam o tym zapomnieć, zwłaszcza w takich trudnych czasach” – wyznała Ołeksandra. – Pani Szura jest dla mnie twarzą pojednania polsko-ukraińskiego. Nie znam drugiej osoby, która by 70 lat chodziła na groby nieznanych jej ludzi, tylko dlatego, że uważa, iż to jest ważne” – powiedział Witold Szablowski.

Historia Hani – Polki ocalonej przez Ukraińców

Pani Hania została jako jedyna uratowana z wioski Gaj, której mieszkańców banderowcy wymordowali w sierpniu 1943 roku. Następnie zmusili ukraińskich mieszkańców odległej o 2 km wsi Kaszówka do pochowania ofiar. Ci znaleźli wśród pomordowanych 2-letnią żywą dziewczynkę. Odbyli naradę, w czasie której Ołeksander Jaszczuk powiedział: „Jak ją zostawimy, przestaniemy być ludźmi”. Mimo zagrożenia, że gdy ją ocalą, banderowcy spalą albo wybiją mieszkańców, zabrali ją do swej wioski, zaadoptowali ją Fedor i Kataryna Bojmistrukowie. Mimo że cała wioska знаła historię dziewczynki, nikt ich nie wydał, mieszkańcy chronili rodzinę i Hanię, która swą historię po kawałku zaczęła poznawać już jako osoba dorosła. Kobieta uważa, że miała wspaniałych rodziców i piękne życie. Nie marzy o tym, by wyjechać do Polski, ale pragnęłaby poznać imię swej biologicznej matki.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Z Wołynia pochodził również Mirosław Hermaszewski. Cudownie ocalony z rzezi prosił Witolda Szablowskiego o przywiezienie ziemi z jego rodzinnej wioski. Nie miał odwagi odebrać ją za życia, ale życzył sobie, by włożono mu ją do trumny.

„Opowieści z Wołynia” mostem pojednania

– Miałem nadzieję, że ta książka może się okazać mostem między Polską a Ukrainą. Na Ukrainie jest wiele książek poświęconych OUN-UPA, ale nie ma w nich ani słowa o roku 1943. W mojej książce jako jedynej opublikowanej po ukraińsku w kontekście Wołynia pojawia się słowo „ludobójstwo”. Ukraińcy zastępują je określeniem tragedia wołyńska. Tragedia to by była, jakby meteoryt spadł. Mamy do czynienia z akcją zaplanowaną 10 lat wcześniej, tylko czekano na odpowiedni moment. W 1943 roku ten moment przyszedł – podkreśla Witold Szablowski. Dodaje, że mówi to jako osoba, dla której Ukraina jest ważna, bliska, życzy Ukraińcom jak najlepiej – by wygrali wojnę, zaangażowany był w wolontariat, jeździł z pomocą, woził ludzi, przyjął w domu w sumie kilkudziesięciu uchodźców.

Ale dodaje, że jest wiele „kości niezgody”. Oprócz unikania mówienia wprost o ludobójstwie, jest nią także m.in. kult Bandery, który urósł do niewyobrażalnych rozmiarów. Na temat kultu Bandery rozmawiał z Grzegorzem Motyką – najwybitniejszym specjalistą od spraw wołyńskich. Historyk powiedział, że jeśli Ukraina ciąży ku Zachodowi, chce wejść do UE i NATO, to pod znakiem Bandery im się to nie uda, bo choć jest on dla współczesnych Ukraińców symbolem walki o niepodległość Ukrainy, Bandera był antypolski, antysowiecki, ale też był antysemitą. – Nie da się z taką postacią na sztandarze ciążyć ku Zachodowi – skomentował Witold Szablowski.

Dobry czas na pojednanie polsko-ukraińskie

– Obecnie jest dobry czas na pojednanie między Polakami a Ukraińcami. Polacy pomagają Ukraińcom, a ci przekonują się, że Polacy nie chcą Lwowa, Wołynia. Zmienia się ich nastawienie – mówił Witold Szablowski. Wojenne doświadczenia spowodowały większą otwartość. Na porządkowanie grobów przychodzi coraz więcej Ukraińców. Autor „Opowieści z Wołynia” opowiada o spotkaniu z mężczyzną, który pochodzi z Buczy i stracił tam kogoś bliskiego. Wyznał, że dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi Polakom. Witold Szablowski wskazał, że negatywnym zjawiskiem są próby konfliktowania Polski z Ukrainą przez Rosję. – Im bardziej my się konfliktujemy, tym bardziej cieszy się z tego Rosja, bo wie, że Polska i Ukraina razem mogą być potęgą. Dlatego od 400 lat rozbijają naszą jedność. Dla bezpieczeństwa Polski jest ważne, by Ukraina wygrała wojnę z Rosją.

Obecnie jednak nie można poprzestać na pięknych słowach czy deklaracjach. – One już padały, Poroszenko klękał przez pomnikiem rzezi wołyńskiej, były listy biskupów, intelektualistów. Dobrze, że są te piękne słowa, ale ja czekam na czyny. Pierwszym czynem powinno być rozpoczęcie ekshumacji.

Leon Popek, który wykonał trzy pierwsze – i jedyne jak dotąd ekshumacje, stwierdza w wywiadzie zawartym w książce, że na pełne ekshumacje wszystkich ofiar rzezi wołyńskiej potrzeba by było 600 lat. Pora, by ten proces rozpocząć. Po słowach czas na czyny – to jest moje stanowisko – spuentował Witold Szablowski.

Anna Wasak
2023-07-11

Nie powinniśmy udawać, że Wołyń nie było

Wywiad z Witoldem Szablowskim, autorem książki „Opowieści z Wołyńia”

Przez ostatnie lata podróżowałeś po Wołyniu, zbierając historie Ukraińców, którzy ratowali Polaków w czasie rzezi wołyńskiej. Efektem jest książka „Opowieści z Wołyńia”, która poraża czytelnika. Dlaczego zajęłeś się tym tematem?

Dopiero gdy trafiłem na Wołyń, zacząłem czytać o tym, czym była rzeź wołyńska. Ze zdziwieniem zauważyłem, że nie znam w ogóle cichych bohaterów tego, co się tam działo w roku 1943. O tym, że Ukraińcy brutalnie mordowali Polaków, wiedziałem, ale nie wiedziałem, że tysiące Ukraińców, ryzykując życiem swoim i swoich bliskich pomagało Polakom. Wiodła mnie ciekawość i trochę poczucie żalu, że my o tych Ukraińcach nie pamiętamy. Jeździłem z myślą, że chciałbym sam się o nich więcej dowiedzieć i chciałbym, żeby też inni ludzie w Polsce jak najwięcej o nich wiedzieli.

Książka opowiada o dobrych sąsiadach z Ukrainy. Wielu ich tam spotkałeś? Czy ci ludzie mieli potrzebę opowiedzenia swoich historii? Jak reagowali?

Pracę nad książką rozpocząłem 10 lat temu. Bardzo często byłem pierwszą osobą, nie tylko pierwszym Polakiem, która prosiła o podzielenie się wspomnieniami sprzed 70. lat. Ludzie reagowali bardzo różnie, przede wszystkim byli zdziwieni, że w ogóle kogoś to interesuje po tylu latach. Ponieważ w tym całym dramacie Wołyńia szukałem dobrych ludzi i dobrych historii, trafiałem do samych dobrych ludzi. Kiedy już rozumieli, o co mi chodzi, jaką dokładnie chcę napisać książkę, przyjmowali mnie z wielką gościnnością.

Jak rzeź wołyńska pamiętana jest w Ukrainie?

Funkcjonują dwa poziomy tego pamiętania. Państwowy, reprezentowany przez historyków, np. szefa ukraińskiego IPN. W jego interpretacji rzeź wołyńska jest negowana. Pojawia się u niego narracja o wzajemnych bratobójczych walkach między Polską a Ukrainą: trochę Ukraińcy zabijali Polaków, Polacy trochę zabijali Ukraińców. Gdzieś rozmywa się tutaj odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. Drugi poziom pamiętania reprezentują zwykli mieszkańcy. Kiedy jeździłem po wioskach i rozmawiałem z ludźmi, widziałem, że bardzo dobrze wiedzą, kto zaczął, kto zabijał i dlaczego tak się stało. Czasami nie chcą o tym mówić, bo są potomkami tych, którzy przyłączyli się do UPA i ruszyli na polskie wioski. Jednak dobrze wiedzą, jaka była geneza, i nie udają, że było inaczej.

Wiele miejsca w książce poświęciłeś rodzinnej historii Mirosława Hermaszewskiego...

Mirosław Hermaszewski jako kilkumiesięczne niemowlę cudem przeżył atak banderowców na folwark Police, w którym mieszkał z rodzicami. Trzymając go na rękach Kamila Hermaszewska pechowo wybiegła z płonącego domu wprost na banderowca, który strzelił jej w głowę. Mimo że strzelał z bliskiej odległości, nie trafił. Strzał ją ogłuszył, przez co matka opuściła zawiniątko i pobiegła dalej. Zanim zorientowała się, że zgubiła dziecko, było już za późno. Mirosław Hermaszewski na szczęście przeżył tę noc. Przeleżał szczelnie zawinięty w śnieżnej zaspie. Jak mi wiele lat później opowiadał, po tej nocy spędzonej w śnieżnej zaspie, nigdy nie miewał kataru. Dalsze losy Kamili Hermaszewskiej były dramatyczne, ale dużo też mówią o tym, jak bardzo skomplikowana była sytuacja na Wołyniu. Kula, która padła z bardzo bliskiej odległości, trafiła ją w ucho. Z szoku nie pobiegła do Zurna – dawnego majątku hrabiego Małyńskiego, gdzie schronili się wszyscy Polacy. Udała się w przeciwną stronę – do wsi Bielka. Była to wieś, gdzie banderowcy czuli się bardzo dobrze, a wielu jej mieszkańców tej nocy paliło Police. Pomimo tego udzielono jej tam pomocy – ktoś pomógł jej się umyć, przenocował, nakarmił, a rano bezpiecznymi drogami przeprowadził do majątku Zurno, do którego powinna pójść.

A która z poznanych historii najbardziej cię poruszyła?

Najbardziej poruszyła mnie historia Pani Hani, która podczas rzezi wołyńskiej miała 2 latka. Ukraińcy znaleźli ją w morzu trupów, w polskiej miejscowości Gaj. W ogóle wyobrażenie sobie czegoś takiego jest trudne. Dwulatka przeżywa, być może jako jedyna z całej wioski, okrutną rzeź. To już bardzo mocno działa na wyobraźnię. Tutaj dodatkowo Ukraińcy, którzy przyjechali pochować ciała zamordowanych Polaków, znaleźli ją i odbyli naradę, co mają z nią zrobić. Z jednej strony trudno im było nie uratować dziecka, które ocalało z tej pożogi, ale z drugiej strony wiedzieli, że jeżeli udzielą jej pomocy, to mogą zapłacić za to życiem. Mieli też świadomość tego, że banderowcy mogą za to spalić całą wieś. Na szczęście wygrała postawa, że człowieka należy ratować. Pani Hania przeżyła, później została adoptowana przez ukraińskie małżeństwo Boimstruków. Spędziła z nimi całe życie uważając, że miała wspaniałych rodziców, którzy bardzo o nią dbali. 10 lat temu byłem pierwszym Polakiem, z którym o tym rozmawiała.

Temat Wołynia jest bardzo trudny. Był taki moment, kiedy chciałeś go rzucić, odciąć się od niego?

Wręcz przeciwnie. Im było trudniej, tym bardziej wierzyłem, że to, co robię, ma sens. Łączy mnie to z Panią Szurą, którą możemy zobaczyć na okładce książki. Wbrew całej wiosce od wielu lat dba o polskie groby. Ma absolutne przekonanie, że to, co robi, jest właściwe, pomimo że wielu przekonywało ją, iż to Polacy byli źli. Z jakiegoś powodu też miałem takie przekonanie i nawet jeżeli piętrzyły się przeszkody, to wierzyłem, że robię rzecz dobrą i powinienem za wszelką cenę ją kontynuować.

Czy kult Stepana Bandery jest nadal żywy na Ukrainie?

Niestety, tak. Jeżdżąc do Ukrainy przez ostatnie 10 lat zauważyłem, że w przestrzeni publicznej pojawia się co raz więcej czerwono-czarnych flag UPA oraz przybywa ulic Stepana Bandery. Widać to bardzo wyraźnie.

To aż strach wyjechać do Ukrainy. Czy to znaczy, że na Wołyniu pielęgnowana jest nienawiść do Polaków?

Moim zdaniem kult Stepana Bandery nie do końca jest przemyślany. Nie ma w nim żadnego antypolskiego pierwiastka. Jest to kult człowieka, który wiele dekad temu oddał życie za niepodległość. Ukraińcy pamiętają, że próbował z Niemcami wynegocjować niepodległość kraju. Ci wsadzili go za to do więzienia. Pamiętają też, że walczył z Sowietami, którzy ostatecznie go zamordowali. Niestety, nie pamiętają, że to Stepan Bandera stworzył podłoże ideologiczne do tego, by w 1943 roku na Wołyniu i później w Galicji Wschodniej zamordowano tak wielu naszych rodaków.

Od początku wojny w Ukrainie jesteś bardzo zaangażowany w pomoc naszym wschodnim sąsiadom. Jednocześnie przypominasz tragedię sprzed 80. lat, która od dawna dzieli nasze narody. Nie czujesz dysonansu?

Wręcz przeciwnie. Uważam, że w interesie każdego komu zależy na niepodległej i silnej Ukrainie, która wejdzie do Unii Europejskiej oraz NATO i z którą razem będziemy mogli stworzyć mur obronny przed Rosją, jest to by Wołyń przestał nas dzielić. Ten temat nie zniknie. Kiedy rozsądni ludzie nie rozmawiają o Wołyniu zaczynają mówić o nim mniej rozsądni. A oni są w stanie nas podzielić. W interesie Polski i Ukrainy jest, żebyśmy w sprawie Wołynia umieli się porozumieć. I temu służy moja książka.

A czy przypadkiem książką nie chcesz wymazać okrucieństwa rzezi wołyńskiej, rozmyślić trochę temat?

Nie, dlatego że zawsze, kiedy w książce pokazuję Ukraińca ratującego Polaka, towarzyszy temu kontekst. Dowiadujemy się, przed kim ich ratował, widzimy, co tam się działo, w jaki sposób Polacy byli mordowani i jak wiele ten Ukraińiec ryzykował. Za pomoc Polakom również on mógł być zamordowany i takie przykłady opisuję w książce. Absolutnie nie mam poczucia, że ta odpowiedzialność czy okrucieństwo gdzieś umyka.

Książka „Opowieści z Wołynia” jest drugim wydaniem (uzupełnionym) wydanej w 2016 roku książki „Sprawiedliwi zdrajcy. Sąsiedzi z Wołynia”. Wybuch wojny w Ukrainie 24 lutego 2022 roku zmienił w polsko-ukraińskich relacjach wiele, a jaki miał wpływ na książkę?

Główna zmiana jest taka, że do książki dołożyłem trzy bardzo ważne wywiady. Rozmawiam z Grzegorzem Motyką na temat rzezi wołyńskiej i Stepana Bandery. Pomyśl tego wywiadu pojawił się po tym, jak naczelny dowódca ukraińskiej armii gen. Walerij Załużny w urodziny przywódcy UPA opublikował zdjęcie z portretem Stepana Bandery. Coś mną wtedy zatrzęsło. Pomyślałem sobie, że tutaj zabrakło wyczucia Załużnemu, który wie, że Polska wspiera Ukrainę i jednocześnie wie, że Bandera jest w naszym kraju postacią kontrowersyjną. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, dlatego poszedłem porozmawiać z Grzegorzem Motyką, który jest autorytetem w temacie Wołynia. Bohaterem kolejnego wywiadu jest Leon Popek, który mówi o ekshumacjach: wyjaśnia, dlaczego są one tak ważne, ile powinno się ich wykonać i dlaczego są blokowane. Na koniec rozmawiam z Agnieszką Deją, której rodzina została wymordowana na Wołyniu, a która po wybuchu wojny w Ukrainie pracowała bardzo ciężko i koordynowała pomoc uchodźcom na warszawskim Dworcu Zachodnim. Jest to rozmowa o przebaczeniu, o tym, jak powinniśmy z Ukraińcami rozmawiać i co mamy zrobić, byśmy mogli dalej iść razem do przodu.

Książka ukazała się również w Ukrainie i była bodaj pierwszą, gdzie w kontekście rzezi wołyńskiej pojawiło się słowo „ludobójstwo”. Miałeś z tego tytułu jakieś nieprzyjemności?

Nieprzyjemności to nie, natomiast rzeczywiście mam poczucie, że książka wielu osobom się nie spodobała. Ukraińcy przyzwyczajeni są do rozmowy o Wołyniu, w której jest symetria: trochę zabijali Polacy, trochę Ukraińcy, a w takim sposobie prowadzenia rozmowy gubi się ważna rzecz – że jednak ktoś rzeź wołyńską zaplanował. Była to organizacja Stepana Bandery, która zaplanowała

ją już kilkanaście lat wcześniej. Dowody znajdziemy w dokumentach. Mieliśmy taki moment w historii, gdy ramię w ramię powinniśmy się bić przeciw Sowiecom, a nie między sobą. Niestety, z jakiegoś powodu banderowcy doszli do innego wniosku. Jest to książka, która mocno zaburza ukraińską narrację o równowadze i symetrii w rzezi wołyńskiej.

A jak oceniasz film „Wołyń” Wojciecha Smarzowskiego, którego kamera skupia się na okrucieństwach tamtych czasów?

Chciałbym móc powiedzieć, że Wojciech Smarzowski przesadził, ale niestety – tak wyglądała rzeź wołyńska. Bałem się ten film obejrzeć, bo wiedziałem, że kto jak kto, ale ten reżyser pokaże to, co się naprawdę wydarzyło na Wołyniu i pokaże to w sposób realistyczny. Tak też się stało.

Jak twoim zdaniem wspólnie z Ukraińcami powinniśmy patrzeć w przyszłość?

Ze świadomością, że Rosja od 400. lat bardzo dobrze nauczyła się nas dzielić. I że powinniśmy zrobić wszystko, żeby im w tym dzieleniu nas przeszkodzić. Powinniśmy być jednością, powinniśmy słuchać się nawzajem i rozmawiać, zwłaszcza o tematach trudnych. Nie powinniśmy udawać, że Wołyń nie było. Powinniśmy po prostu rozmawiać, rozmawiać, rozmawiać... Nawet czasami się pokłócić, ale mieć poczucie odpowiedzialności, że żyjemy w takim momencie, gdzie po pierwsze: nikt nam nie obiecał, że Ukraina wygra wojnę (choć bardzo tego im życzę), po drugie: nikt nam nie obiecał, że relacje polsko-ukraińskie będą zawsze tak dobre jak obecnie. Powinniśmy robić wszystko, żeby takie były zawsze.

Zamierzasz wracać na Wołyń?

Mam tam wiele przyjaciół, chociażby Pani Szura czy Pani Hania. Po śmierci mojej babci obie mi powiedziały, że mi ją zastąpią. Jestem zaprzyjaźniony z ich rodzinami, zapraszają mnie do siebie na wesela, urodziny. Są dla mnie bardzo ważni i na pewną będę do nich jeździł, tak jak się jeździ do rodziny. Może już nie tak często, jak podczas pracy nad książką, ale na pewno będę ich odwiedzał.

Dziękuję za rozmowę

Również dziękuję za rozmowę i za zaproszenie do Radzyna. Cieszę się, że mogłem tu być, a spotkanie na pewno zapamiętam na długo.

10-07-2023